AS



Nr. 38

20 WRZEŚNIA 1936
CENA 40 GROSZY

✦

Z CZASÓW WASZYNGTONA...

Joan Crawford. — Fot. Ted Allen, Hollywood.

Laureatki konkursu

na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki.

Jury „Konkursu „Asa“ na najestetyczniejszy wygląd sportsmenki“ przyznało nagrody następującym paniom:
W dziale myśliwskim: P. Annie Pętkowskiej — sztucer myśliwski z firmy Józef Splichal Syn, Kraków, Sławkowska 16. **W dziale jeździeckim:** I. nagrodę p. inż. Marji Voelplowej — uzdę angielską z firmy Ignacy Rybka, Kraków, Florjańska 13 — oraz II. nagrodę p. majorowej Marji Borzysławskiej — szpicrutę z ozdobną rączką, z firmy Ignacy Rybka, Kraków, Florjańska 13. **W dziale narciarskim:** P. drowej J. Jaśkiewiczowej — narty z więżbą, z firmy Zubek, Zakopane. **W dziale żeglarskim:** P. Elżbiecie Wieczorkowskiej — zegarek sportowy z firmy Józef Płonka, Kraków, Szewska 12. **W dziale samochodowym:** P. Zofji Kannenbergowej — necessér z firmy Ignacy Rybka, Kraków, Florjańska 13. **W dziale wioślarskim (kajaki):** P. Izie Kosińskiej — zegarek sportowy z firmy Józef Płonka, Kraków, Szewska 12.
Bliższe szczegóły wraz z fotografjami nagród zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Asa“.

Redakcja.



Na prawo P. A. z br Graevów Pętkowska z Smiłowa Wielkopolska



P. Zofja Kannenbergowa — Lwów.



P. Elżbieta Wieczorkowska — Wilno.





Powyżej: P. Drowa Jaśkiewiczowa — Kielce na lewo: P. Iza Kosińska — Kraków.



P. Inż. Marja Voelplowa — Lwów.



P. Majorowa Marja Borzysławska — Toruń.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 38 **Niedziela 20 września 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 38-GO:



Fot. Sport General — Londyn.

W Putney (Anglja) miejscowy kobiecy klub sportowy wybrał na swym dorocznym festiwalu królową piękności miss Francis Beasley, którą widzimy na zdjęciu w momencie owacji, zgotowanej jej przez koleżanki klubowe.



W krajach słońca, barwy i kształtu

Nagły, niespokojny zryw z łóżka i nerwowy ruch po zegarek... O Boże, już 5-ta rano, a tu za pół godziny walizy nasze winny stać za drzwiami, aby wraz z tysiącem i czterysta podobnych im, pękatych i pstrokatych od nalepek hotelowych towarzyszek niedoli powędrować do naszego „podróżującego hotelu,, — toczącego się po bezmiarze szyn kolejowych.

Niedość rozbudzeni i przytomni, myślimy: „Dubrownik to, Wenecja, Neapol, czy „Saturnia"?... Przecieramy jednak oczy i stwierdzamy, (nie bez miłego zdziwienia), że cztery ściany, które nas w tej chwili otaczają, obrazy i meble, są nam wybitnie dobrze znane. Bo i jakżeżby nie? przecież to kochane ściany rodzimego domu. Poobijane, ponaciągane „członki" przepełnia miłe uczucie rozleniwienia i zadowolenia na myśl, że nie trzeba będzie wstawać, przygniatać obolałem kolanem pęczniejących (niewiadomo czem) z dnia na dzień waliz, dławić się pospiesznie połykanem śniadaniem, jednem słowem.. urlop.

Przewracamy się więc na drugi bok, otulamy szczelniej poczciwą polską kołdrą (br, zimno tu w tej naszej Polsce) i usiłujemy — zasnąć. Ba, ale tylko usiłujemy, myśl bowiem nasza wraca uparcie do dopiero odbytej podróży po krajach słońca, kształtu i barwy. Z zamkniętemi oczyma, w świadomości naszej snujemy film, bajecznie kolorowy, przeróżnorodny film, tem ciekawszy, że byliśmy w stosunku do niego nietylko widzami, ale niejako aktorami i operatorami filmowymi — zarazem.

Pisano już wiele o krajach i miastach, przez które biegła trasa naszej wycieczki — nie odkrywając więc Ameryki — wspomnę pokrótce o tem i owem, zatrzymując się jeno przy dziele Włoch nowych, Włoch, na które skierowane są dziś oczy całego świata.

Więc najpierw Budapeszt, jedno z najpiękniejszych miast Europy, miasto letnisko, zabytkowe, a zarazem tak bardzo modern, pławiące się w zieleni i gorących źródłach-pływalniach (w rodzaju „św. Gellerta"), wieczorem — miasto świateł przeglądających się cudnie w szerokiej wstędze Dunaju.

Potem serdeczne powitanie w Zagrzebiu, spotkanie z reprezentantem rządu, potomkiem sandomierskiej rodziny polskiej p. Nałęcz-Moszyńskim, (która wyemigrowała do Chorwacji po rozbiorach Polski), potem piękne stare miasto Split z czasów Dioklecjana i odjazd minjaturową, lecz schludną „Ljubljaną" do Dubrownika.



Tu podziwiamy malownicze, stare mury i zabytki Dubrownika (Raguzy), miasta tropikalnej spiekoty i posuchy (także i mieszkaniowej), gdzie jak nigdzie lepiej, nie odpowiadało hasło wycieczki „Po słońce, które dręczy, przepraszam, które łączy narody". W Dubrowniku „psioczymy" na przereklamowaną, maleńką plażę i cieszymy się największą królewską atrakcją — Jego Królewską Mością Edwardem VIII.

Skolei płyniemy — w wyobraźni naszej — luksusową „motonave Saturnia", zawadzamy wraz z nią o ubogą ziemię grecką w Petrasie, (którą ktoś złośliwy przezwał z grecka „Nędzojronem") i docieramy, topniejąc z wielkiego żaru i ciekawości do po tysiąc razy opiewanego Neapolu i jego wiecznie mrukliwego sąsiada — Wezuwjusza. Tu umieramy nietylko z zachwytu ile ze zmęczenia i głodu, uraczeni tak „dobrą", że aż niejadalną kolacją. Był to zresztą jedyny czarny punkt w rozsłonecznionym obrazie Italji.

Z podróży po Włoszech utkwił nam w pamięci jeden nieodziany widok powracających do ojczyzny żołnierzy włoskich z Abisynji.

Zdjęcia: Red. J. Stankiewicza, dr. W. Szperbera i A. Wasilewskiego



Na prawo od góry: Wycieczka I. K. C. „Po słońce, które łączy narody" przed wyruszeniem z dworca krakowskiego. — Budapeszt (pomnik św. Stefana). — Split (fragment portu). — Dubrownik (plaża). — Kotor (droga na Łowczen). Dubrownik (grota niebieska).













A było to tak: Wracamy z pięknej i emocjonującej wycieczki na Capri i do Lazurowej Groty, zapatrzeni w widniejący w dali port neapolitański, dymiący stożek Wezuwjusza i romantyczne mury Castel Nuovo, kiedy uwagę naszą zwraca dużych rozmiarów okręt, spuszczający przy pomocy dźwigów jakowyś „towar" — przedziwnie jednak ruchliwy. Jak się potem okazało, towarem tym były poczciwe muły i konie, które z uczuciem lądowania nie bardzo były oswojone, buntowały się przeciw tej przymusowej, diabelskiej jeździe zgóry — w nieznane otchłanie ziemskie.

W porcie, uwagę naszą zwrócili żołnierze włoscy, mali, szczupli, opaleni, w charakterystycznych hełmach tropikalnych (modnych dzisiaj i w cywilu), upstrzonych przeróżnemi napisami, jużto na cześć „Il Duce", jużto mniej przychylnemi słówkami à propos tchórzliwego władcy Abisynji itp. Co druga „śniada twarz" nuci niewymyślną w słowach i melodji, a jednak przemiłą i arcyzabawną piosenkę „Facetta Nera" o czarnej Abisynce — podobną do lekkich piosenek naszych „legunów". Śpiewają ją dzisiaj w licznych trawestacjach — całe Włochy, a zwłaszcza wojska kolonialne.

Patrzą na owe chude, a roześmiane twarze, aż trudno było uwierzyć, że są to zdobywcy nowych i jakże trudnych do opanowania terenów zamorskich, jedni z wielu pionierów Włoch nowych, zasobnych i potężnych. Za chwilę uwagę naszą zwrócił nowy objekt, godny oglądania — był nim ogromny, niczem „latający gmach" — srebrzysty, trójmotorowy hydroplan, kierowany ponoć ręką samego Duce — jak wiadomo świetnego pilota, wodujący opodal naszego statku. Mussolini wsiadł do motorówki (jego rosła postać w białym mundurze doskonale była zdaleka widoczna) i witany niewymuszonemi, entuzjastycznemi okrzykami i oklaskami zebranych tłumów (entuzjazm ten udzielił się i polskiej, chłodnej zazwyczaj publice) odjechał samochodem do miasta, które oddało mu swój zachwyt i swe gorące serce.

Tego dnia poznaliśmy jedno oblicze Włoch, entuzjastycznie nastrojonych dla swego Wodza i garstkę tych, którzy przyczynili się do zdobycia nowych terenów ekspanzji dla rozrastającej się i za ciasnej już ojczyzny.

O tem, że Italia zdobywa nie tylko kolonie zamorskie, przekonaliśmy się naocznie, zwiedzając — na zaproszenie włoskiego ministerstwa propagandy — osuszone błota pontyjskie i najmłodsze miasta włoskie Littorię i Sabaudię.

Odległe o przeszło 50 km od stolicy — tereny były od wieków przyczyną ciągłych trosk współczesnych im rządów — od cezarów, po wojnę światową. Niejeden już plan osuszenia owych błot opracowano, a przecież nigdy dojść nie chciano, czy nie umiano do ich zrealizowania, aż wreszcie dokonały tego Włochy faszystowskie, z czego też nie mało są dumne. Spróbujmy opisać krajobraz nieistniejących już błot pontyjskich. Jak okiem sięgnąć, wzdłuż lśniącej, asfaltowej szosy, ciągną się dzisiaj urodzajne pola, przetkane od czasu do czasu wąską wstążką kanału, odprowadzającego wodę. Wzdłuż drogi schludne, seryjne domy - gospodarstwa, wieczysta dzierżawa nowo sprowadzonych tu osadników. Każdy dom nosi ten sam napis: „Opera nazionale combattenti" Anno X E. F. Te same domki, tę samą urodzajną glebę, fosy i kanały oglądać można na przestrzeni 18 tys. ha osuszonego „Agro Pontino". I pomyśleć, że jeszcze przed 10-cioma laty na miejscu urodzajnej gleby cały ów szmat kraju był wielkiem malarycznem mokradłem, schludne „podere" — jednostki gospodarcze — nędznemi lepiankami, a ludność chorobliwa i apatyczna. Dziś powstała na błotach pontyjskich prowincja — posiada kilka młodziutkich miast, z tych dwa największe Littorię i Sabaudię. Obydwa każą podziwiać swe staranne rozplanowanie, piękne skwery i wodotryski, szerokie ulice i nowoczesne domy. Architektura i zdobnictwo tych ostatnich, poza charakterystycznym dla budynków włoskich kolorem terrakoty, bardzo miła, nie w niej niema z „Picassów", Czyżewskich, czy chociby Bohuszów. Bardzo często jako motywów dekoracyjnych użyto emblematów faszystowskich — rózgi i toporki, lekko stylizowane, widzimy nawet na poręczach schodów i „słomiankach".



Oczywiście Littoria, czy młodsza, a piękniejsza położeniem Sabau-

Na lewo od góry: Zabawy towarzyskie na pokładzie statku „Saturnia" Patras (droga do portu). — Neapol (widok na Wezuwiusz). — Pompei (wnętrze muzeum z wykopaliskami). — Rzym (redaktor naczelny I. K. C. Marjan Dąbrowski składa wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza).





Wiedeń — arkady Ratusza z widokiem na Votivkirche.

dia, to Pompei przyszłości — dziś robią one wrażenie miast, jakby wymarłych, miast kinowych, krajobrazowi zaś brak tak bogatego i bujnego gdzieindziej we Włoszech drzewostanu, niemniej rozwój jego jest z każdym rokiem większy, w miarę postępu prac przy osuszaniu błot pontyjskich.

Takie i tym podobne snując refleksje — wracamy do Rzymu, wśród kolorowego szpaleru kwitnących oleandrów (niczem naszych wierzb), obok ogromnego oka jeziora Albano, tkwiącego w bogatej zielonością o-prawie wygasłego krateru wulkanicznego, położonego tuż przy letniej rezydencji papieskiej Castel Gandolfo. Tu — jak wiadomo — danem nam było ujrzeć Papieża, jednakże bez przepychu przyjęć watykańskich.

Rzym... Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Pewnie. Jeśli nie prowadzą, to powinny prowadzić. Nie wierzę, aby istniało miasto więcej urozmaicone, bardziej godne widzenia, lepiej kształcące umysł i serce. Dlatego, gdybym zasiadała gdzieś tam „u góry", zaaplikowałabym każdemu kulturalnemu obywatelowi państwa polskiego przymusowy wyjazd do Rzymu i Włoch — niechby się nauczył myśleć, patrzeć, czuć i — pracować.

I znowuż nie mając pretensji do odkrywania rzeczy powszechnie znanych, wspomnę tylko o wielkim rozmachu, z jakim Rzym Mussoliniego rozrasta się w tempie iście olimpijskiem. Wystarczy choćby przytoczyć rozległe, nowoczesne miasto uniwersyteckie, skupienie wszystkich wyższych szkół rzymskich na peryferjach miasta, ogromne „Forum Mussoliniego", jego imponujące i estetyczne zarazem stadjony, pływalnie i place sportowe i tyle innych godnych uwagi budynków, ulic, placów i ogrodów. Czyż dziwić się należy 3-ciemu miejscu, zdobytemu przez Włochów, w berlińskiej Olimpjadzie, drugiemu po Niemczech z pośród państw europejskich?

A elektryfikacja linii kolejowych, a wielo kilometrowe tunele podziemne w rodzaju tego, który biegnie między Florencją a Bolonią, nie mówiąc już o powszechnie znanych ze swej doskonałości — szosach i autostradach włoskich?

Jednem słowem rozmach, godny naśladowania i... zazdrości.

Niebawem skończyły się piękne, a zbyt krótkie dni pobytu we Włoszech. Po Rzymie jeszcze dzień pobytu w Wenecji, zawsze bajecznie kolorowej i nastrojowej, dzień może najwięcej, wraz z wiedeńskim, kosztujący



Wenecja — widok od strony morza.

„zdrowia" nasze panie, jeśli się wzięło pod uwagę puste (przymusowo) kieszenie i wyjątkowo kuszące wystawy wytwornych magazynów weneckich i wiedeńskich. Ale trudno, czegóż się nie poświęca dla dobra ojczyzny?

Trzytygodniowy film ma się ku końcowi. W Wiedniu kończą się też „termy Ikacego", zapomniana od wielu dni „psia pogoda" przypomina, że wracamy do kraju, pozostającego „w cieniu" gorącego tempa Europy... a szkoda, boć słońce, to przecież życiodajna i twórcza siła! **Ir. Stankiewiczówna.**

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Zwyżka cen w nowym sezonie.

Co roku wrzesień otwiera nowy „sezon" filatelistyczny, ponieważ w tym czasie ukazują się najświeższe katalogi i zbieracze, chcąc nie chcąc muszą je nabywać, gdyż zmiana cen jest dla nich rzeczą najważniejszą.

Z prawdziwem zdumieniem notujemy niesłychaną haussę, która jest dowodem, że czasy kryzysowe skończyły się przynajmniej dla zbieraczy, a także z roku na rok powiększająca się ilość specjalistów powoduje, że znaczki danego terytorjum znikają zupełnie z handlu.

Od wielu lat istnieją już firmy, które w abonamencie dostarczają wszystkich nowości i wydawałoby się, że doświadczeni zbieracze potrafią dzięki temu zaopatrzyć się w nowe wydania i cena tych ostatnich będzie doznawała tylko nieznacznych wachnień. Gdzież tam! Już nie kilka, ale kilkadziesiąt marek kosztują znaczki, które niedawno jeszcze przy okienku kosztowały po parę groszy, a teraz znajdują się tylko w albumach nielicznych zbieraczy. Rzecz jasna, iż żaden sklep nie może się zaopatrzyć w dostateczny zapas nowości, bo musiałby uwięzić duży kapitał w niepewnym bądź co bądź materjale, ale też wskutek tego niejedną klasyczną markę można prędzej wyszukać, podczas gdy ostatnie wydania znikają jak kamfora.

Podobnie stało się też ze słynną serją jubileuszową na 25-lecie panowania króla Jerzego V. Sporo zbieraczy zaopatrzyło się w porę w cały komplet kilkudziesięciu kolonij, a z chwilą kiedy znaczki te zostały wycofane z obiegu, okazało się, że rozeszła się tylko drobna ilość wyższych wartości.

W samej Anglji wydrukowano miljony tych znaczków i katalog notuje je po 1 marce, tymczasem w koloniach było ich bardzo mało i już przedruk poczty w Marokku wynosi 11 marek Michla za półtora pensową



Trzy znaczki, które w ciągu krótkiego czasu niezwykle zwyżkowały w cenie. — Od góry: Poł. Zach. Afryka za 3 pensy, obecnie 70 marek. — Gdańsk za 15 fenigów, obecnie 25 marek. — Angielskie Marocco za 2 1/2 pensa, obecnie 25 marek (ze zbioru Braci Horainów).

sztukę, a 25, — za obok reprodukowaną! Rekord ma 1-„szylingówka" z Mauritiusa, która już kosztuje 110 mk. Michla, a najdroższą jest serja Południowo-Zachodniej Afryki za 153 marki! 4 sztuki tej serji kosztowały nominalnie jednego złotego rok temu (10 pensów), a dzisiaj przy znanem obliczeniu rabatowem trzeba za nie płacić 60 złotych!!

To samo zdarza asię od czasu do czasu w Europie, ale tylko przy serjach dobroczynnych, na które jest mało amatorów. Przedruk W. H. W. (Winterhilfswerk) na gdańskich znaczkach został rozsprzedany w r. 1934 tylko w 10000 egzemplarzy, poczem nakład został zniszczony. W Niemczech istnieje obecnie około pół miljona zbieraczy, a że Gdańsk cieszy się bardzo wielką popularnością, Michel wyznaczył cenę 25 marek za znaczek 10 fen., do którego dopłata wynosiła 5 fen. Jest to więcej, niż stokrotna cena nominalna, i stanowi może rekord światowy szybkości wzrostu ceny w ciągu półtora roku.

Jak już wyżej wspomniałem, znaczki tego rodzaju są często nawet i za taką cenę nie do nabycia, bo znajdują się w rękach aktywnych zbieraczy, którzy się ich za nic nie pozbędą. Przykładów podobnych jest mnóstwo: Austrja „F. I. S.", Czechy „Zlot Sokołów", Niemcy blok „1923—1933", ale ze względów filatelistycznych jest może lepiej, kiedy znaczki te rozsprzedaje się tak, jak we Finlandji, aż do zupełnego wyczerpania nakładu. **W. H.**

ODPOWIEDZI REDAKCJI. P. M. Czernigiewicz, Katowice. Koperty wysłane z oblężonego Paryża w 1870 mają wartość, lecz zależy ona od znaczka, kasowników itd. Notuje je katalog lotniczy Champion (Paryż).

POLSKIE RADJO wprowadza komunikaty o nowościach filatelistycznych. Witamy tę inowację z prawdziwem uznaniem.



MIECZYSŁAW TURSKI

Pionierki hiszpańskiej sceny

U kolebki teatru hiszpańskiego, poczętego z prymitywu inscenizacyj fragmentów Pisma Świętego, nie było miejsca dla kobiet jako czynnika odtwórczego. W wysoko sklepionych nawach katedr, w widowiskach obrzędowych współdziałali jedynie mężczyźni, rekrutujący się z warstw członków bractw kościelnych lub żaków.

Z biegiem czasów idealna rywalizacja poszczególnych związków religijnych rozbudowywała przedstawione fragmenty, wychodząc w sposób zbyt liberalny daleko poza ramy biblijne i wprowadzając coraz więcej pierwiastków świeckich niejednokrotnie pełnych nawet błazeńskiego humoru. I tak np. Trzy Marqe, odgrywane przez kleryków, dążąc do grobu Mistrza, umiejscowionego przy bocznym ołtarzu, w połowie nawy głównej zatrzymywały się, kupując od wschodniego kupca wonności, prowadząc przy tej okazji dowcipny, nierzadko rubaszny dialog z famulusem sprzedającego.

Te dodatkowe nadbudówki poważnego tekstu, zniewoliły władze duchowne do wygnania atrakcyjnych widowisk poza mury kościelne. Sobór w Toledo wydał stosowne dekrety i potrafił silną ręką przeprowadzić banicję owych pra-aktorów, którzy stanowiąc już element zupełnie świecki rozpoczęli swe, gorąco oklaskiwane przez widzów, produkcje na placach publicznych, pod gołem niebem. Niebawem jako salę teatralną zużytkowali oni wielkie obszary oparkanionych składów drzewa, a pod pozorem kwesty na cele charytatywne uzyskali przywileje na prawo dawania przedstawień w pewne ściśle oznaczone dni tygodnia.

Barwne ceremonjały życia religijnego i rycerskiego owiane romantyzmem bohaterskiej epoki Cyda, wywarły decydujący wpływ na dodatnią konjunkturę świetnego rozwoju teatru, wyrabiając we wszystkich warstwach społecznych gorącą żądzę widowisk.

Scena hiszpańska rozbudowuje się, wyzyskuje wszelakie możliwości i znajduje nowe drogi wypowiedzenia się. Wyzwolona jako zupełnie samodzielna instytucja rozrywkowa, zajaśniała pełnym blaskiem sławy w momencie, gdy na jej deskach stanęła kobieta jako koleżanka zawodowa aktora, a zarazem współtowarzyszka jego artystycznej doli i niedoli. Nie ogranicza się ona zresztą jedynie do występów w stolicy, lecz wyrusza na podbój szerokiej prowincji.

W zespole zwanym „Cambaleo" podąża niesiona w lektyce z miasteczka do miasteczka, z osiedla do osiedla, śpiewem swym urozmaicając przedstawienia. Jako kobiecą partnerkę posiada nierzadko młodego chłopca, kreującego rolę wytwornych dam. W większej trupie noszącej popularne miano „Farandula" ilość kobiet dochodzi nawet do czterech, nie mówiąc już o zasobnym teatrze objazdowym, jaki stanowiła „Campana", dostarczająca aktorek nadwornej scenie w zamku „Buan Retiro".

Kierownicy tych lotnych zespołów: Galvez, Vasquer czy ermas de la Fuenta stwierdzają zgodnym chórem, iż dzięki pojawieniu się płci pięknej na deskach scenicznych, teatr zyskał poparcie możnych protektorów arystokratycznego pochodzenia, których sympatje wyrażały się w pomocy zarówno moralnej jak i finansowej, przyczyniając się do pomyślnego rozwoju tej młodej kulturalnej instytucji.

Reorganizacja teatru przez Lope de Rueda, złotnika z Sevilli, daje ogromne pole do popisu postaciom kobiecym. Aktorki hiszpańskie potrafiły wznieść się nieomal z miejsca na wyżyny artyzmu, a dzięki swemu zachowaniu się, pełnemu godności, zyskać szacunek ogółu i wytworzyć należyty prestige dla całej sfery „ludzi teatru".

Amaryllis, żona słynnego amanta Andreas'a de la Vega, nazwisko swe złotemi zapisała zgłoskami w teatrologji hiszpańskiej, wnosząc na scenę nietylko piękność fizyczną lecz i znakomitą dynamikę gestu, umiarkowane, zrównoważone prowadzenie dialogu i przeżywanie odtwarzanej postaci. Gdy występował Damian Arias de Penapice trzeszczały ławki, a przedsiębiorca realami zapełniał po brzegi swój skórzany mieszek; lecz jeszcze bardziej groził zawaleniem amfiteatr, podczas występów dwóch sław ówczesnych: Antandne i Riquelme, z których ta ostatnia uchodziła za wyjątkową, zakonną wprost skromność w życiu, a uosobienie rozpasania żądz i namiętności na scenie. Wiele bardzo rozpowszechnionych legend i anegdot otacza nimbem tajemniczości Francis Baltazar, znakomitą aktorkę zwłaszcza w dziedzinie arystokratycznych rezonerek, kończących rolę tragicznym epilogiem. Baltazar posiadała hojną rękę i często jej gaża wędrowała jako jałmużna bezimiennej ofiarodawczyni do sakiewek najuboższych. Toteż jak podaje miarodajny krytyk de Arteida, w chwili jej zgonu same dzwony rozdzwoniły się na wieżach kościelnych, a następnie przy jej grobie miały długie wieki dziać się cuda.

Uosobienie cnót, Maria Calderon, zwana „pięknością Iberji", nie pozostała bez wpływu na króla Filipa IV. twórcę nadwornej sceny w zamku Buen Retiro, przysztego pola popisu dla genjalnego dramaturga Calderona de la Barca. Dzięki jej światłej radzie ten przybytek muzy wykorzystał pendzle i dłuta tej miary, co Cosma Latto i Cezare Fontano, obaj mistrzowie italskiego pochodzenia.

Nieomal ona jedna mogła obywać się bez rozpowszechnionej a wszechwładnej płatnej klaki, która decydowała często o powodzeniu lub absolutnej „klapie" druzgocącej całą karjerę aktorki. Każdą jej scenę kończyły huczne oklaski i długotrwałe okrzyki: „Mira!" — podziwiaj i „Victor". Brawa, padające zarówno ze stojącego parteru zwanego „mousqueteros" jak też i „bancos" zajętych przez młódź szlachecką, a nawet z lóż „Cazuela", przeznaczonych jedynie dla wytwornych kurtyzan.

Te pra-aktorki, wywodzące się z różnych sfer i stojące na różnym poziomie intelektualnym, dzięki wrodzonemu talentowi i ogromnemu poświęceniu, złożonemu na ołtarzu sztuki, zdołały cały stan „contrafrazeador" z rybałtów i błaznów przedzierżgnąć w pełny godności zawód aktorski. Wnosząc do instytucji teatru swój wdzięk, finezję i spryt życiowy, pchnęły ją na nowe drogi, które okazały się dla tej placówki zbawczemi.

Toteż w historji kultury hiszpańskiej zasłużyły na bardzo zaszczytną kartę.



Jedna z figur ludowego tańca kaszubskiego: „koeseder"

TAŃCE NA KASZUBACH



Na lewo: Dziewczęta kaszubskie udają się na miejsce, gdzie za chwilę odbędą się tańce.

Lud kaszubski, zasłuchany w poszum polskiego morza, kształtował duszę swoją odrębnie. Po macoszemu niejednokrotnie obchodziła się z nim natura brzegu polskiego, ale była mu również karmicielką. Życie wśród niedostępnych do niedawna piasków półwyspu helskiego, rozwinęło w nim ogromną żywotność. Chytry, przebiegły w stosunku do swych wrogów, głęboko religijny i zachowawczy w swych wierzeniach, pilny w pracy, nie lubiący życia ponad stan, rybak kaszubski, w swojem kole ujawnia często głęboki rozum życiowy, humor swoisty i dowcip. Cechy te przekonują nas o twórczej wybraźni ludu, na którą otaczająca przyroda wycisnęła swe piętno. Życie z cudowną mocą tworzenia i śmierć — jako zjawisko odpadania zużytych ogniw w nierozerwalnym, nieskończonym łańcuchu istnienia — oto zagadnienia, dokoła których powstały i rozwinęły się wszystkie obyczaje i wierzenia ludu kaszubskiego, dając wyraz niezliczonym troskom jego w walce z nieznającą ustępstw przyrodą.

Chylił on czoło przed wielką potęgą natury, ale umiał się jej w ciągu wieków też przeciwstawić, jak również współżyć, rozumiejąc, że od żywiołu morskiego uzależniony jest jego byt. To też w piosenkach, tańcach, zwyczajach obrzędowych jest zawsze coś z morza. Śpiewane piosenki posiadają w swej melodji dźwięk rytmiczno-rozlewny, zamykający w sobie uderzenia i rozpływanie się fal, który daje złudzenie słuchaczowi, jakgdyby śpiewaczki, czy śpiewacy znajdowali się na rozkołysanem morzu.

W zaklęciach, zamawianiach używa się słów, mówiących o wodzie morskiej. Wierzy się w moc uzdrawiającą kąpieli morskiej w Wielki Piątek, używa się piasku plaży do praktyk zabobonnych itp. Na półwyspie helskim, jak również w głębi Kaszub podczas uroczystości rodzinnych niejednokrotnie napatrzeć się można starodawnym tańcom kaszubskim, wirowym i figurowym.

Szczególnie lubiany jest wśród rybaków taniec zwany „Dziuk-wiwat". Jest to jakby rodzaj tańca marynarskiego. Zasadza się na tem, że dwóch chłopaków, trzymając w jednej ręce szklankę „bajerszu" (piwa), rączo przebiera nogami, do siebie przyskakując, poczem stają w środku, a wszyscy obecni obchodzą ich dokoła, przyczem dziewczęta powiewają chustkami; wszyscy zaś głośno tupią i na całe gardło krzyczą. Taniec ten oddaje w niektórych momentach grozę żywiołu morskiego, jego łaszenie się do brzegu, następnie chytre liźnięcia żółtawego piasku i rozlewanie się fali. Krzyki, tupanie nóg — to odgłosy burzy; powiewanie chusteczkami — to znowu podmuchy wiatru; potrząsanie szklankami bajerszu — to radość człowieka, że nie zmógł go żywioł. Taniec więc ma charakter symboliczny.



Pierwsza figura tańca rybaków: „dziuk-wiwat".

Poza nimi szczególnie lubiane są: szoc, koezak, szewc, owczarz i gołębnik. Tańce te mają wiele oryginalności. Szczególnie piękny jest „szewc" Tańczy się go przy wtórze specjalnej piosenki. Nie mniej oryginalny jest „koeseder", taniec, przypominający polkę. Na istrumenty muzyczne składają się najczęściej bas, „skrzepce", „klarneta", „fleta", „trąbe" i harmonja. Muzycy kaszubscy grają zwykle raźnie „le taczy szamoet idze" (aż taki szum się rozlega). Przy tańcu nie brak też przyśpiewek krótkich, w rodzaju:

„Moje rebię (rybko) mocje łeczkoe (oczko)
Pocze zemną w świat".

W piosenkach, służących jako wtór do tańców, mówi się wiele o miłości; piosenki zaczynają się od czułych uniesień dwojga zakochanych i kończą się zwykle rozpaczą jednej, a szyderstwem drugiej strony. Jest to najcharakterystyczniejszy rys ludowej poezji kaszubskiej. Poniższa piosenka mówi o tem: **(Dokończenie na str. 31)**



Taniec narzeczeński, zwany przez Kaszubów „brutci tuńc".



Szczególnie przez młodzież lubiany taniec t. zw. „szewc".

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: FOT. ALFRED ŚWIERKOSZ — WIELKA WIEŚ — HALLEROWO

Jerzy Oleski

NIEDOKOŃCZONA NOWELA

Pan Paweł Onyszko był typem człowieka, którego zły los prześladuje. Jego postać mała, zgarbiona i w bladej, wymizerowanej twarzy, wyblakłe, smutne oczy — budziły litość nawet w przechodniach. Wyszarzałe palto, którego kolor był tak trudny do określenia, jak wiek pana Onyszki i kapelusz, który zapewne lepsze pamiętał czasy, stanowiły z postacią jego tak zharmonizowaną całość, że trudno byłoby wyobrazić go sobie w innem okryciu. Pan Onyszko, zdawałoby się, wbrew temu, co o prześladowaniu go przez los powiedziano, nie był żonaty, ani też nie posiadał krewnych.

Był urzędnikiem skarbowym IX stopnia płacy. Historja jego życia była krótka, niemniej jednak obfitowała w wypadki tragiczne.

Pan Onyszko, jako młody uczeń ósmej gimnazjalnej, uległ namowie przyjaciela i w gimnazjum, w ubikacji na inne cele przeznaczonej, zapalił po raz pierwszy papieros.

Los jednak, który bez żadnego uzasadnienia płatał mu figle, sprowadził na ten moment srogiego dyrektora.

Sprawa zlikwidowała się bez zbytniego rozgłosu. Pan Onyszko znalazł się nagle poza obrębem murów szkolnych, skutkiem czego zaoszczędził sobie raz na zawsze trudu zasiadania do egzaminu dojrzałości. Fakt ten napozór drobny, skierował życie jego na zgoła inne tory. Przepadły ambitne plany studjów uniwersyteckich. Gdyby nie to, nie znalazłby się nigdy pan Onyszko w oddziele egzekucyjnym Urzędu Skarbowego.

Po osiągnięciu posady stałej, znowuż za niecną namową swych przyjaciół, która stała się brzemienną w skutki tragiczne, zaczął pan Onyszko oglądać się za kobietą, którejby z wolnej a nieprzymuszonej woli mógł przed ołtarzem ślubować dozgonną miłość.

I zdawało się przez krótki czas, że ją znalazł.

Była to panna Stella, dziewczę milutkie, o buzi małej i okrągłej, z uśmiechniętemi wiecznie oczyma.

Pan Onyszko był wniebowzięty.

Szczęście wyraźnie szło obok niego, gdy w przechodzie do biura rankiem, czatował przez chwilę na nią. Miało to szczęście nóżki nieszpetne i figurkę śliczną.

Długo gromadził zapasy odwagi i przygotowywał się do chwili, kiedy jej powie o swej wielkiej miłości. Długie rozmyślania i ekstazy miłosne wieczorem w parku, zniszczyły do cna powłokę cielesną pana Onyszki, tylko duch jego rozpinał swe olbrzymie skrzydła do górnych lotów.

Na dzień swych oświadczyn wybrał niedzielę, aby nastrój świąteczny dnia podniósł wagę i uroczystość czynionych wyznań. W niedzielę stanął, jak zwykle u wejścia do parku i zgorączkowany i roztargniony, oczekiwał ubóstwianej.

Nadeszła po godzinie, która wydała mu się okresem całym w dziejach ludzkości. Czegoż to nie przeżył pan Onyszko w tym czasie! Sto razy zwątpienie wgryzało mu się w serce i sto razy słodka nadzieja rozświetlała jego wzburzoną duszę. Prześnił w tym czasie słodycz niewypowiedzianą, dni spędzonych z Nią w nieistniejących ustroniach, kędy wiosną kwitną w sadach wiśnie, wiódł ją przez pola sinych niezabudek, niósł ją na rękach wśród łanów zbóż, to znowu czołgał się u Jej stóp, żebrząc o jeden uśmiech i ginął we własnych oczach od strzału brauningowego w serce.

Pan Onyszko wędrował tak przez godzinę całą po ostrzu niepewności, między niebem i otchłanią, aż nagle w żwirowej alei ukazała się Ona...

Szła jak uosobienie najpiękniejszych marzeń, piękniejsza niźli ją sobie pan Onyszko w snach barwami miłości wymalował i dodać trzeba, że szła z tym niebiańskim uśmiechem, który mówi: „Wiem, że mnie kochasz i kocham cię również".

I oto pan Onyszko zebrał resztki swoich sił, przywołał całą swoją przytomność umysłu i w głowie ułożył mu się błyskawicznie, jak w groteskowym filmie z kresek — plan działania. — Kiedy ona będzie przechodziła obok ławeczki, na której siedział, wstanie pokornie i powoli, tak aby to na zaczepkę nie wyglądało i wziąwszy kapelusz w rękę, powie jej wpierw oczyma to, co usta później wyrzec mają.

Krok jej każdy odbijał się jak echem, uderzeniem serca pana Onyszki, a że kroki te były drobniutkie i szybkie, serce wystukiwało gwałtowny takt.

Dochodziła właśnie do skrzyżowania alei, gdzie wysoki, strzyżony żywopłot zasłaniał widok na małą sadzawkę.

Moment decydujący się zbliżał.

Panu Pawłowi przez myśl przemknęło zdanie zasłyszane w gimnazjum: „alea iacta est".

A ona w tej chwili wyciągnęła rękę, jakgdyby do powitania, choć dzieliła ich jeszcze przestrzeń dwudziestu kroków. Ale pan Paweł zrozumiał ten gest, ten odruch kobiecej, stęsknionej duszy i burza szczęścia rozszalała w jego sercu.

Już chciał skoczyć ku niej... i właśnie w tym momencie wypadki wzięły inny zgoła obrót.

Z poza żywopłotu wysunęła się z bocznej alei naprzód ręka, a potem wyszedł mężczyzna.

Pan Onyszko uczuł, że ławka odbywa z nim karkołomne salto i leci z przerażającą szybkością w dół. Trwało to jednak ułamek sekundy, bo pan Paweł wpił oczy w postać nieznajomego i w jego twarz. Szerokie plecy i wzrost niezwykły uderzyły, obok twarzy o szerokim nosie i głęboko osadzonych oczach — podobieństwem do kogoś znanego.

I przypomniał sobie pan Paweł dokładnie ilustrację w gazecie i objaśnienie pod nią: „Znany bokser położył w drugiej rundzie mistrza"...

A znnay bokser obejmował właśnie gestem, pozbawionym subtelności szczupłą kibić panny Stelli. Tak prawdopodobnie w mrokach dżungli goryl oświadczał miłość swej towarzyszce.

I pan Onyszko wstał, choć czuł, że mu nogi dziwnie ciążą i że w gardle jest mu cokolwiek sucho i zrozumiał, że w życiu raz jeszcze los z niego zakpił.

A potem miał już niejedną historję przykrą.

Na los, który odstąpił znajomemu na tydzień przed ciągnieniem, padła znaczna wygrana, przez omyłkę obito go w awanturze ulicznej i zdechł mu ulubiony kanarek. Ale pan Paweł zaciął się, zniósł ze stoickim spokojem drwiny kolegów, pochował kanarka w blaszanem pudełku w parku i jak dawniej szedł codziennie rano do biura, o trzeciej na obiad do mleczarni, wieczorem do parku.

I zdawało się, że los znudził się ciągłem płataniem mu figlów. Ale była to cisza przed burzą.

Czas zabliźnił starą ranę serca pana Onyszki i zatarł w jego pamięci przykre wspomnienia. Pan Paweł zdaje się nawet odmłodniał, co stwierdzała pani Antoniowa, pełniąca obowiązki dozorcy domu.

I znowu przyszła wiosna, czarowna, kwitnąca bzami i niosła z sobą żary nieukojonych pragnień i dyszący w noce księżycowe szept miłości. I tak długo łasiła się do pana Onyszki, tak długo kusiła dziewictwem świeżych pąków kwiecia, aż biedne skołotane serce pana Pawła poczęło omdlewać w oczekiwaniu jakiejś wielkiej miłości, która gdzieś, zapóźniona jeszcze w drodze, szła ku niemu.

Przeczucie go nie zawiodło.

Spotkał ją wtedy, gdy najmniej się tego spodziewał.

Odbywał właśnie spacer popołudniowy i idąc powoli, rozmyślał o nieściągniętych zaległościach z tytułu podatku lokatorskiego, gdy w pasażu mignęła mu twarz kobiety.

Nie widział jej nigdy przedtem, to znaczy na jawie, bo w snach ją widział właśnie taką. Nie ulegało wątpliwości — to była jego Kobieta. I pan Onyszko rzucił się w tłum, z pośpiechem nieomal naoślep i stał się jawny cud: dama spojrzała nań swemi oczyma, które patrzyły w słodkiej zadumie na uszczęśliwioną twarz pana Onyszki.

A on postanowił działać szybko, jakby



przypomniał sobie, że zbyt długie wahanie wydziera mężczyźnie kobietę i rzuca ją innemu. Ale tym razem była to miłość wzajemna.

I zaczęły się dni szczęścia...

Któregoś dnia z początkiem lipca dowiedzia się od niej, że Nina (Nina brzmiało jej cudowne mię) wyjeżdża nad polskie morze — na Hel.

Odprowadził ją na dworzec i pożegnał.

W tydzień po wyjeździe otrzymał telegram: „Tęsknię stop przyjedź koniecznie stop kocham stop Nina".

Oddepeszował jednem słowem: „Przyjeżdżam".

Radość jego nie miała granic. Nazajutrz otrzymał urlop wypoczynkowy i podjął swoje oszczędności w banku.

Wieczorem odchodził pociąg.

— — — — — — — —

Ale wieczorem pan Onyszko szedł nie w stronę dworca, lecz w stronę redakcji wielkiego tygodnika. I szedł jakiś smutny i zgarbiony.

W przedpokoju redakcji powitał go woźny.

— Czy pan w sprawie jakichś wierszy, nowelek lub czegoś podobnego? — zapytał nieufnie.

Pan Paweł spojrzał po sobie. Istotnie prezentował się marnie i głupio, co uzasadniało podejrzenie.

— Nie, ja w sprawie osobistej — odpowiedział z godnością.

Redaktor przyjął pana Pawła w gabinecie.

— Czem mogę służyć?

Pan Onyszko opuścił z zakłopotaniem oczy i wbił je w koniec swego bucika. Lękliwym głosem rozpoczął swą historję:

— Ja w sprawie tej nowelki, co to jutro do druku... chciałem właśnie przedstawić, że...

— A! W sprawie nowelki? Zechce pan pofatygować się do referenta, o ile ocena wypadnie pomyślnie, to bardzo chętnie...

— Ale bo ja w sprawie osobistej Panie Redaktorze. Jestem bohaterem noweli, która ma się ukazać jutro w Pańskiem piśmie. Raczy Pan sobie przypomnieć — miałem wyjechać na Hel. Otóż przyszedłem oświadczyć, że nigdzie nie wyjeżdżam, jest to moje postanowienie nieodwołalne.

Po twarzy Redaktora przemknęło zdziwienie niezmierne.

— Ależ jakto, panie Onyszko? To niemożliwe! To niebywała rzecz. Nowela już w druku. A zresztą cóż u licha, pan, papierowy bohater, żyje tylko w fantazji autora, pan nie ma realnego bytu, a zatem i woli własnej mieć nie może.

Pan Paweł uśmiechnął się pobłażliwie.

— Któż z nas wie, gdzie kończy się fantazja, a zaczyna rzeczywistość, kto potrafi określić granice bytu i niebytu? Zresztą proszę posłuchać: jestem urzędnikiem IX stopnia służbowego. Czy słyszał Pan Redaktorze kiedyś, aby urzędnik IX stopnia wyjeżdżał nad morze. To nonsens! To kpiny poprostu. Co powiedzianoby o mnie. Obawiam się i tak, że policja zainteresuje się mną na skutek owej kłamliwej wzmianki o moich oszczędnościach w banku. Rzucą na mnie kamieniem. Onyszko — łapownik! Nie zamierzam narażać mego dobrego imienia. Mam dwadzieścia lat uczciwej służby.

— Panie Onyszko! — próbował sprawę złagodzić Redaktor — przecież to jednak da się w jakiś sposób zrobić. Ma pan przecież jakąś rodzinę, mógłby Panu ktoś z krewnych pożyczyć, w noweli jest to możliwe.

Pan Onyszko zamyślił się, popatrzył przez okno na dalekie dachy domów, na zieleń drzew i ruch miasta.

— Może jakiś weksel z dobrym podpisem? Spłaci się potem — podsuwał Redaktor.

— Chciałby Pan doprawdy — uradował się pan Paweł — na takie żyro danoby chyba i tysiąc złotych.

— No! Ja — widzi pan — z zasady weksli nie tego,.. ale ktoś znajomy, może sam autor.

Cień smutku przesunął się z oczu pana Pawła i opadł mu na usta, których kąciki z rezygnacją osunęły się ku dołowi.

— Autor? Niech mi Pan o nim nie wspomina, choć to niby cognatio spiritualis między nami. Sam radby pożyczył od kogoś.

Redaktor zaczynał okazywać zniecierpliwienie, bo w istocie trudno było znaleźć słowa pociechy.

Pan Onyszko żegnany kordjalnie wyszedł na miasto, prosto w gwar ulicy, w strumień ludzkich głów. I szedł powoli, machinalnie, a mózg wierciła mu jedna myśl: „Pięćset złotych- te głupie pięćset złotych".

I jego serce zaczęła napełniać nieznana przedtem gorycz do ludzi, bo niedość, iż ścigało go zawistne fatum, uwzięli się nań ludzie. Czy to szlachetnie kazać mu się rozmiłować w kobiecie, wysłać ją nad morze, obiecywać jego przyjazd, a równocześnie mianować go urzędnikiem IX stopnia, jakgdyby na ironję.

Pan Onyszko zapragnął zemsty. Ale na kim i w jaki sposób? I zaczął rozważać przyczynę swoich nieszczęść.

A kiedy wieczór zaczął zmierzchem otulać stary park, pan Paweł obmyślił swój plan zemsty w szczegółach i smutną twarz na piersi skłoniwszy, odszedł w mrok opustoszałych alei.

— — — — — — — —

Rankiem następnego dnia znaleziono w ustronnem miejscu wisielca.

Z dokumentów ustalono, że był nim pan Onyszko, urzędnik skarbowy. W godzinę później kolporterzy na rogach ulic wołali: „Wielka defraudacja w Urzędzie Skarbowym — urzędnik popełnił samobójstwo".

Ale okazało się zgoła co innego.

Ciekawa — jak zwykle — policja znalazła list adresowany do autora w kieszeni „denata".

Pisał tedy pan Onyszko tak:

„Szanowny Panie!

„Prześladuje mnie zły los, ale i źli ludzie. Do nich należy także Pan. Wplątał mnie Pan w intrygę miłosną, zapalił moje serce i odebrał spokój umysłu. I oto — jak na ironję — każe Pan mnie urzędnikowi IX stopnia, wyjechać do ukochanej nad morze.

„Ale zawiódł się Pan, sądząc, że stanę się przedmiotem drwin i Pańskiej złośliwości, bo oto ja sam postanowiłem przeciąć pasmo moich dni. Ponadto mianuję Pana uniwersalnym dziedzicem, zapisując Mu swoje oszczędności w P. K. O. w kwocie 17.120 zł., z dodaniem warunku, że podejmie je Pan wówczas, gdy urzędnicy IX stopnia zaczną wyjeżdżać nad morze".

— — — — — — — —

Tak zginął pan Paweł śmiercią tragiczną i to w przededniu nadejścia po czterech latach przychylnej odpowiedzi w sprawie dwumiesięcznej zaliczki na płacę.

Los wyraźnie zakpił z pana Onyszki i tym razem.

Adwokat zapytany w sprawie realizacji testamentu oświadczył, że wobec dołożenia w testamencie zawieszającego niemożliwego warunku — testament jest prawnie nieważny.

Zemsta pana Onyszki powoduje nas do ogłoszenia, że wobec śmierci samobójczej pana Pawła, od autora niezależnej, ciąg dalszy noweli NIE nastąpi.



Na lewo P. Zofja Chodkiewiczówna z gryfonem.

„Psia parada" w Simie

Zapowiedziany przez Sim II konkurs „Pani i jej piesek", wzbudził, jak było do przewidzenia, ogromne zainteresowanie wśród właścicielek wysokiej rasy ulubieńców. W ostatniej chwili chodziło tylko o pogodę. Ale pieski mają widocznie jakieś psie konszachty nietylko z Simem, gdzie się czują lepiej, niż u siebie w domu, lecz również i z Pimem. Ubiegła niedziela zajaśniała nad Warszawą całym blaskiem gasnącego lata.

Ogródek Sima nie może pomieścić gości. Panie zjawiają się w nowych kostjumach jesiennych, nawet w samych sukniach z modnej włochatej wełny, tak jest słonecznie i ciepło. Pieski, odświętnie przybrane w nowe obroże, smycze, wykąpane, wyczesane, wystrzyżone; manicure i trwała ondulacja na wysokości zadania. Przecież taki konkurs to zarazem rewja szyku, elegancji i ostatnich „krzyków", a właściciwie ostatnich „szczeknięć" mody.

— Proszę pani — zwraca się przy kasie dama z czerwonem piórkiem i pieskiem w takiejże obroży — czy nie możnaby, mimo wszystko, odłożyć tej rewji na drugą niedzielę? Przecież dzisiaj trzynastego!

Pani przy kasie rozkłada bezradnie ręce.

— W takim razie — zapowiada apodyktycznie dama z czerwonem piórkiem — ja wycofuję moją Fipcię- Jeszczeby jej ten konkurs zaszkodził. Taka feralna cyfra a ona taka wrażliwa!

— Wrrrrr... wrrrr... hau! hau! — Mały mopsik groźnie pokazuje ostre kiełki i rzuca się jak szalony na linewce w stronę olbrzymiego doga.

— Głupi szczeniak! — Na kogo? Na pana? z taką mordą? — warczy z politowaniem dog. Phy! jedno dotknięcie mojej łapy a zrobię z ciebie, nieboże, marmoladę!



P. Krystyna Rothertowa z psem chow-chow.

— Kochane Lordy, Dżony, Dżoki, Lalusie, Żabusie, Mikusie i Lafusie! — zwraca się do piesków konferansierka. — Zostawcie na później wasze rodowe i rasowe waśnie, oraz osobiste porachunki! Pełńcie godnie wasze zadanie- Pamiętajcie, że dobre wrażenie jest połową zwycięstwa! Uszy i ogonki do góry! Cały Sim na was patrzy!!

Jury złożone z przedstawicieli prasy i świata artystycznego pod przewodnictwem prezesa Tow. hodowców psów rasowych p. Trybulskiego, oraz sędziego tegoż towarzystwa woj. Stachiewicza, bada sumiennie każdego pieska i jego 100 procentową przynależność do podanej rasy.

— Imię? — pyta sędzia.

— Zula — odpowiada pani „od pieska".

— Wiek?

Pani jest lekko speszona.

— Czy to konieczne? — pyta.

— Naturalnie, przecież to najważniejsze!

— ...Eee... Trzydzieści lat.

— Ależ ja pytam o wiek pieska!

— Ach tak, dwa latka, pięć miesięcy i dziewięć dni a wabi się Lala.

Padają numery, na estradzie zjawiają się coraz to inne i coraz piękniejsze okazy psiego rodu, tworząc ze swemi paniami tak wytworną harmonję, że ręce zrywają się same do oklasku. Oto pani Nina Malużkowiczowa w czarnej toalecie, rozjaśnionej białym żabotem. Jej lilipuci czarny pekińczyk Flap ustroił się w taki sam żabocik, tylko z własnej autentycznej sierści. Jak nowoczesna Diana zjawia się w sportowym kostjumie p. Simona Rowmuntowa Piłsudska z dwoma białymi chartami. Dostaje też pierwszą nagrodę. Sensację wzbudza rodzina mopsików, składająca się z mamy Jubilu, papy Tiny-Tim i trzech niemowląt „w pieluszkach". Do stolika, na którym się rodzinka prezentuje, zbiegają się wszystkie dzieci, będące na pokazie.

— A czy się je karmi flaszeczką? — pyta mała dziewczynka. Och, chciałabym mieć takie małe dziecko!

P. Nina Wojtowiczowa, w kostjumie koloru jesiennych liści prezentuje dwa wspaniałe setery irlandzkie tejże samej barwy. Starszy z nich papa Bis należy do najwyższej elity psiego rodu, posiada bowiem złoty medal zdobyty na wystawie rasowych psów. Niemniej arystokratyczną rodzinę sky-terrierów papy Dawida z córeczką Agatą prezentuje p. Ira Zyndram-Kościałkowska. Jej szary kostjum tworzy z pieskami wytworną całość. Jedwabista szara frendzla sierści sięga pieskom niemal do ziemi.



P. Simona Rowmundowa Piłsudska z chartami.

Poniżej: P. Irena Malużkowiczowa z czarnym pekińczykiem.



— A czem te pieski chodzą? Czy brzuszkiem? — dopytuje się ciekawie jakiś mały widz.

Figlarny ostrowłosy terrier p. Iny Siemaszkowej, znana w psim świecie osobistość, jakoże wielokrotnie dyplomowany, stanowi ze swą czerwoną obrożą doskonałe skompletowanie kostjumu swej pani i jej czerwonego kapelusza i torebki.

Zjawia się puszyste rude cudo, chow-chow, (czyt. czou-czou) p. Krystyny Rothertowej.

— Pokaż piesku język — prosi uprzejmie sędzia.

Jedną bowiem z cech rasy chow-chow jest czarny język.

Piesek jest jednakże dobrze wychowany a w dodatku jako rasowy, ugrzeczniony Chińczyk wie, że języka się w towarzystwie nie pokazuje. Ale kawałek cukru każe mu zapomnieć o dobrych manierach.

Rumi, springer — spaniolka p. Petrykiewicz-Karaffa zachowuje również wytworne formy towarzyskie i przedstawia się publiczności, stojąc na dwóch łapkach, zaco dostaje brawo.

Nagrodę przez plebiscyt zdobywa p. Siemiątkowska w czarnej sukni z czarnym, o cudnej kwadratowej mordeczce szkockim terrierem. A nagrodę redakcji „Przyjaciele psa" p. Zosia Kiedrzyńska z Mikusiem, cocker — spanielem. Mikuś jest mocno onieśnielony i oszołomiony. Ma bowiem dopiero siedm miesięcy, przyjechał właśnie ze wsi i to jest jego pierwszy występ na wielkim świecie. Ale na zawołanie: „Mikuś, ptaszki, ptaszki!" Mikuś wraca do formy i robi przyjemną minę do aparatu.

Jest jeszcze jamniczek ostrowłosy, taki urodzony komik z lisią mordką i długim sztywnym ogonkiem i mały szpic, tonący w puszystym obłoku... Ach, trudno wszystkich spamiętać i zanotować. Co piękniejsze okazy uwiecznia film, pstrykają aparaty redakcyjne i licznych amatorów. Panie otrzymują piękne nagrody, w postaci artystycznych lamp, pater, słodyczy i t. p.

— Co to, już wpół do trzeciej? — zrywa się dama w bronzowych gronostajach z pieskiem na łonie. Jezus Marja, przecież Dinny je obiadek punktualnie o drugiej! No idziemy już do domu moje maleństwo, moja pieszczoszko, mój brylanciku, głodna Dinusia, moje biedactwo...

— Ach — wzdycha zasuszony małżonek damy — o moim żołądku to nie pomyślisz. Żebyś bodaj raz potraktowała mnie jak psa!

Ord.



P. Zofja Kiedrzyńska z cocker-spanielem.



P. Irena Zyndram-Kościałkowska z sky-terrierami.

Wszystkie zdjęcia fot. „AS".

FELIKS DANGEL

HISTORJA MAŁEJ JENNY



Eugenjusz Dubois wynikami swej ekspedycji skierował badania genetyki ludzkości na nowe tory...

Długiem pasmem górzystych wzniesień biegnie przez błękitną wstęgę oceanu, podłużna linia Zundzkiego Archipelagu.

Borneo, Sumatra i legendarna Jawa.

Wyczarowała je baśń, mgłą tajemniczości owiana legenda.

Poza złocistym pasem piaskowej laguny wybrzeża, tuż omal że ponad spienionemi grzywami fal, w górę ku stożkom wulkanicznym wspina się w przepychu barw zieleni las podzwrotnikowy, pełen czarów i tajemnic.

Zawisły teraz na gałęzi chlebowca błękitnej papugi jak kwiaty lotne, by za chwilę rozsypać się w potopie zieleni z radosnem wołaniem. A tam wśród skalistych rozłamów płynie słodkowodna krynica, nad którą tykwy swych owoców rozwiesiły granaty.

Taki raj pierwotny widział w swej wizji malarskiej Doré, gdy przyszło mu sztych dla biblii koncypować dla pierwszego rozdziału stwarzania świata. Na bagnistych łąkach tego pra-lasu chłodzi swe plamiaste ciało tapir indyjski — na gałęzi ściele gniazdo ptak rajski (paradizea-apoda) — lemrury i małpiątki zbierają się tu na wieczorne wiecowania, a kolibry długiemi dziobami spijają nektar z kwiatów...

Tylko człowieka tu niema — jak w trzeciorzędzie — okresie największego rozwoju ssaków.

Niema go. Ani w dzisiejszej formie doskonałej, ani też w formie odtworzonej, wzorowanej na czaszce znaleziska z Neannderthalu pod Düsseldorfem.

Gdy po raz pierwszy korwety Holendrów zacumowały tutaj swe korabie i na postój zwinęły swe herbowe żagle aż po kataklizm wulkaniczny, w którym zginęła cała wyspa tego archipelagu, Krakatau, o istnieniu człowieka w rajskim tym ogrojcu nic nie wiedziano.

Okres tworzenia przeciągał się na setki lat.

Aż po rok 1894 — po datę ekspedycji naukowej młodego przyrodnika francuskiego Eugeniusza Dubois, który Staremu Swiatu wielką nowinę przekazał.

* * *

Gdy po raz pierwszy ze sztucerem na ramieniu przedzierał się Dubois po pokrytym gęstą roślinnością tufie wulkanicznym Jawy, tropami indyjskiego bawołu, gdy po raz pierwszy kilofy ekspedycji tknęły tajemniczych pokładów lawy, świat naukowy Europy zajęty był spornym problemem nieladu.

Przeciwko Darwinowi z Wallacem wystąpił z całym autorytetem genialnego patologa, Virchow, obalając swą ekspertyzą całą misternie skonstruowaną drabinę genetyczną człowieka, którą odtworzył Darwin, bijąc w dowód oczywisty — znalezisko czaszki neandertalskiej, jako na czaszkę istoty przejściowej, która według Darwina łączyła nas ze światem człekokształtu.

Virchow nie dopatrywał się w jaskiniowem znalezisku niczego więcej, jak chorobliwej i patologicznie zniekształconej pozostałości człowieka z pierwszego okresu czwartorzędu.

Kontrargumenty wielkiego Anglika, Darwina były po tym fakcie już tylko honorową obroną sztandaru... ewolucjonizmu.

Aż oto po latach czterech od wygłoszenia druzgocącej ekspertyzy Virchowa nadeszła wieść nowa z Archipelagu Zundu..

Dubois kablem donosił:

„Istnieje forma przejściowa. Jest nią pithecantropus rectus — małpolud wyprostowany. A oto dowody:

Ekspedycja Jawajska Eugeniusza Dubois składała na poparcie śmiałej wieści dowód w postaci czterystu skrzyń znalezisk, przeznaczonych dla badań w Lejdzie.

Wielki senatus profesorum paleontologii, antropo- i zoologii wdział białe fartuchy i zasiadł do laboratoryjnych stołów..

* * *

Niechajże mi wolno będzie przytoczyć własne moje wspomnienia. Gdy z ksiąg mądrych i rozpraw profesorskich zradza się w fantazji fatamorgana rajskiego archipelagu, gdy padają słowa Borneo, Jawa, Sumatra... tyle razy spogląda ku mnie mądra i miła twarzyczka — Jenny.

Była chorą, gdyż podróż, którą niedawno odbyła kabotażowym okrętem, a potem wielkim parowcem transoceanicznym, wyczerpała ją bardzo, a co już najbardziej zaważyło na szali zdrowia, to macierzyństwo. Aby zachować życie tego niezmiernie rzadkiego okazu małpy-gibbona wschodnio-indyjskiego, zarząd wielkiego zakładu importera zwierząt w Alfeld, zrobił wszystko, by zachować życie tak matce, jak i jej maleństwu. Samolotem sprowadzono najbieglejszego zoojatrę z Berlina. Nad klatką umieszczono wielkie ślepia lamp kwarcowych, a specjalny asystent czuwał dzień i noc, notując postępy choroby.

— Czy pan słyszał kiedy śpiew małpy?

— Nie, nigdy jeszcze.

— Teraz będzie pan miał okazję. Jenny co wieczór śpiewa nad dzieckiem.

Zaczajeni w mrocznym kącie hali obserwowaliśmy ten dziwny śpiew rozpaczy czy żalu, który śpiewała Jenny. Długie karykaturalne ramiona oplotła wieńcem na głowie wyprostowana na tylnych kończynach, chodziła po klatce i śpiewała. Zaczynało się od wysokiego C, a potem gama śpiewu spadała w łagodnych modulacjach, wznosiła się ponownie, drgała i łkała. To nie był śpiew, nieartykułowany zakochanego oranga, nie był to afektacyjny zew jakiegokolwiekbądź innego zwierzęcia, to był śpiew w pełni znaczenia tego słowa.

Dubois miał rację. Istnieje antropus rectus, którego budowa kostna krzyża i goleni przystosowana jest do wybitnie pionowego poruszania się. Istnieje istota o strunno-głosowo zbudowanej krtani, a znaleziska istoty w jawajskim tufie tak bardzo zbliżone do gibbona, dają mgławicowy zarys istnienia jakiejś istoty pośredniej, która wyginęła w końcowych okresach trzeciorzędu.

* * *

W pokładach trzeciorzędnyih tufu wulkanicznego odnalazł Dubois luźne szczątki istoty, którą anatomia porównawcza i osteograficzna uznać musiała za szczątki szkieletu istoty sobie nieznanej, posiadającej tyleż cech człowieka, co i gibbona wschodnio-indyjskiego. Więc przedewszystkiem zęby. Trzonowe nie różniące się niczem od zębów człowieka i kieł właściwy tylko gibbonowi. Czaszka dostarczyła więcej jeszcze sensacji. Była to czaszka o formach wybitnie przejściowych, o wnęce mózgowej znacznie przerastającej wnękę mózgową małp człekokształtnych, a tak bardzo zbliżoną konstrukcyjnie do czaszek pigmejów z Kongo lub z cejlońskich wegdów. Przedewszystkiem jednak kość goleniowa dawała dowody, że istota nieznana musiała się, tak jak gibbony, posługiwać chodem pionowym, obcym wszystkim innym iostotom, a nawet gorylowi.

Niestety jednak tuf wulkaniczny, który pokrył kiedyś w kataklizmie wybuchu połać tej ziemi na przestrzeni, którąby się dała porównać z przestrzenią od Neapolu do Królewca, starł na miał dalsze części szkieletu, ale i to, co pozostało, pozostało dowodem niesłychanie wymownym... Antropologii dzisiejszej, wzbogaconej w te znaleziska, pozostał obowiązek dalszego wydzierania tajemnic jawajskich tufów.

* * *

Nie dało się uratować dzieciątka małej Jenny.

Zgasło.

Dopóki wzbierający w jej piersiach pokarm boleśnie dokuczał, dopóki małej siwej głowence pozostały mgliste obrazy wspomnienia, Jenny cierpiała bardzo. Wspinała się wtedy swojemi długiemi rączętami na moje ramię, otaczała mnie miękkim delikatnym uściskiem, kładła głowę na skroń i długo coś skarżącym się głosem mruczała mi do ucha. Były to słowa, których nie notują żadne słowniczki Olendorffa i Brockhausa, Ale zdawało mi się, że w miękkiej ich akcentacji rozróżniałem wyraźnie ciepłe słowa: „kochany kuzynie".

ISTOTA Z PRA-LASU
Wschodnio-indyjski gibbon.





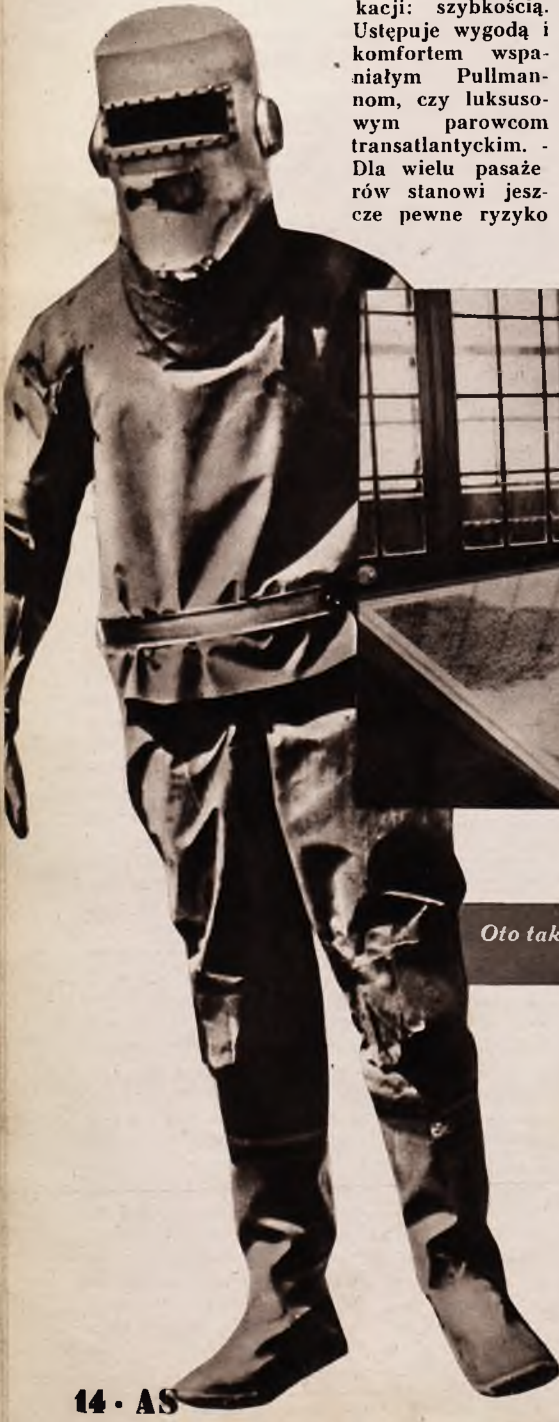
Loty w stratosferze

Najmłodsza gałąź komunikacji, lotnictwo, rozrasta się i doskonali z niebywałym rozmachem i energią, oplatując dosłownie cały świat siecią połączeń lotniczych, biegnących ponad górami, morzami, pustyniami, a nawet niedostępnemi polami lodowemi.

Lotnictwo komunikacyjne tylko jednym atutem góruje nad wszystkiemi innemi środkami komunikacji: szybkością. Ustępuje wygodą i komfortem wspaniałym Pullmannom, czy luksusowym parowcom transatlantyckim. - Dla wielu pasażerów stanowi jeszcze pewne ryzyko lot samolotem, mimo że na polu bezpieczeństwa zrobiono w ostatnich latach niezwykłe postępy. Lotnictwo jest stosunkowo drogie... ale jest szybkie i ta zaleta stawia je na czołowem miejscu wśród nowoczesnych środków podróży.

Dzisiejsze samoloty pasażerskie osiągają szybkość ponad 300 km na godzinę, a konstruktorzy i wynalazcy pracują niezmordowanie dalej, aby tę szybkość jeszcze zwiększyć; dla przelotów bowiem nad oceanem okazuje się ona za małą. Lot, trwający 20 godzin, byłby zbyt męczący dla pasażerów, pilota, a przedewszystkiem dla samolotu.

O ile jednak przez zwiększenie mocy silników i nadanie samolotom form wprost idealnie opływowych, udało się wyśrubować dla wielkich maszyn szybkość do 400 km, stało się widocznem, że tu leży kres szybkości dla samolotów, które mają służyć do przewozu pasażerów i poczty, czyli mówiąc poprostu, muszą się opłacać.





Pokój kontrolny w centrali angielskich linij powietrznych.

Oto tak wygląda strój lotnika stratosferycznego — Willey Posta.

Opór powietrza rośnie z kwadratem szybkości: oto zasada, która stawiła konstruktorów wobec błędnego koła. Popularne tłómaczenie tej zasady nie jest zbyt łatwe. Spróbujmy ją zobrazować przykładem:

Jeżeli mały samolot robi np. 100 km na godz. z silnikiem o mocy 50 KM, to z silnikiem stukonnym osiągnie około 160 km na godz. Samolot tysiąckonny o szybkości ponad 400 km przez podwojenie mocy nie przekroczy nawet szybkości 500 km na godz. (Dane powyższy są oczywiście ogólne i nie mają pretensji do dokładności).

Istnieją samoloty t. zw. rekordowe, osiągające szybkość ponad 700 km na godz. Są to jednak maszyny specjalne, nie nadające się absolutnie do normalnej eksploatacji. — Wodnopłat SM, na którym Angello pobił rekord świata, posiada kolosalną moc 2000 KM, unosi zaledwie jedną osobę i po kilkuminutowej pracy jest niezdatny do użytku na długie tygodnie remontu silnika.

Pozostało tylko jedno wyjście, dawniej nie brane zupełnie pod uwagę: latać tam, gdzie niema oporu, albo gdzie jest on minimalny. Kraina niskiego ciśnienia powietrza i co zatem idzie, małego oporu, znajduje się... niedaleko; zaledwie około dwudziestu kilometrów od każdego z nas w linii prostej, ale w kierunku... pionowym.

Obszar stratosfery, który został jak gdyby „odkryty" przez Piccarda i który jest dziś ostatnim krzykiem mody w dziedzinie wypraw naukowych, budzi od kilku lat duże zainteresowanie wśród pionierów komunikacji lotniczej i plejady konstruktorów.

Po szeregu wypraw balonowych do stratosfery, nastąpiły próby wznoszenia się ponad normalne wysokości samolotami. Jednym z lotników, którzy głównie zajmowali się kwestją możliwości latania w stratosferze, był sławny Willey Post (zabił się w czasie próby pobicia własnego rekordu w locie naokoło świata). Po kilku olbrzymich rajdach, w których zbadał szereg nowych szlaków powietrznych, doszedł on do wniosku, że przyszłość lotnictwa leży w lotach stratosferycznych. Po starannych przygotowaniach wystartował do próbnego lotu w stratosferę.

Wyprawa Posta zasługuje na specjalną uwagę z tego względu, że odbyła się na samolocie „Winnie Mae", którego używał do zwykłych swych podróży.

Jakkolwiek jego lot nie był w prawdziwem tego słowa znaczeniu, wyprawą naukową, przyniósł jednak wiele nowych spostrzeżeń i umożliwił dokonanie wielu doświadczeń. Post osiągnął wysokość przeszło 14.000 metrów, co jest znakomitym wynikiem na samolot, nie budowany specjalnie do tego rodzaju lotów. Niestety tragiczna śmierć nie pozwoliła mu wykonać dalszych lotów do stratosfery, które planował na nowym samolocie. Jedyną nowością, zastosowaną przez niego w ostatnich próbach, było użycie specjalnego skafandra (na wzór używanych przez nurków) umożliwiającego normalne oddychanie w rozrzedzonem powietrzu stratosfery.

Obecnie Niemcy zapowiadają budowę samolotu, przeznaczonego wyłącznie do komunikacji stratosferycznej; podobno zakłady Junkersa mają już w przyszłym roku wypróbować taki samolot. Czem on się będzie różnił od dotychczasowych, wielkich samolotów? Spróbujmy na to odpowiedzieć:

O ile silnie rozrzedzone powietrze stawia mniejszy opór lecącemu samolotowi, o tyle jednak nie pozwala na pracę normalnemu silnikowi, przeznaczonemu do akcji w niższych sferach przestworzy. Silnik potrzebuje pewnych określonych dawek tlenu, podobnie

jak każde stworzenie; należy mu więc tego tlenu dostarczyć nawet w stratosferze.

Już lotnictwo wojskowe, zwłaszcza myśliwskie, odczuło potrzebę specjalnych silników. Lotnictwo stratosferyczne zwiększy jedynie wymagania w tym względzie. Jako główne zasady dla silników do pracy na dużych wysokościach stosuje się dwie metody: budowanie silników o dużej pojemności cylindrów, których moc nawet przy zmniejszonej wydajności wystarcza do utrzymania lotu — albo używanie specjalnych sprężarek (kompresorów), które sprężają zbyt rzadkie powietrze do odpowiedniej gęstości i tłoczą wprost do gaźników. Każda z tych metod ma swoje zalety i wady i oczywiście swych zwolenników i przeciwników. Nie będziemy się wdawali w rozważania nad temi fachowemi tematami. Przypuszczalnie dla latania w stratosferze zastosowane będą wspólnie obie metody, t. zn. silniki bardzo wielkie i mocne oraz kompresory, których użycie jest oczywiście niezbędnem na wysokościach, gdzie gęstość powietrza spada do jednej czwartej normalnej gęstości, przyczem jeszcze obniża się procentowa zawartość tlenu w powietrzu.

Drugą ważną różnicą w nowych samolotach będą pomieszczenia dla pasażerów. Już przebywanie na wysokościach powyżej 4000 m jest dla organizmu ludzkiego niebezpiecznem, ze względu na brak tlenu; latanie powyżej 5000 m, gdzie gęstość powietrza spada do połowy normalnej, wymaga bezwzględnie aparatów tlenowych do oddechania. Lot na wysokości 20.000 metrów zmuszałby pasażerów do nakładania na siebie ubrań nurkowych; niezwykle szczelnych, skomplikowanych i przykrych w użyciu. Praktycznie byłoby to nawet niemożliwe i dość niebezpieczne spowodu zawodności tych skafandrów. W tym stanie rzeczy cała kabina samolotu będzie musiała być specjalnie skonstruowana, aby mogła uchronić pasażerów przed uduszeniem z braku powietrza. Kabina taka, zbudowana z lekkiego metalu, będzie zupełnie szczelnie zamknięta przed odlotem i otwarta dopiero po lądowaniu. Specjalne przyrządy zapewnią utrzymanie normalnego ciśnienia wewnątrz kabiny i odpływ zepsutego powietrza.

Część powietrza sprężonego, przedostanie się zapomocą automatycznych zaworów do kabiny przez specjalne filtry i zapomocą wentylatorów utrzymane zostanie ciągłe krążenie świeżego powietrza.

Drugą żywotną kwestją dla organizmu ludzkiego poza powietrzem jest ciepło. W stratosferze panuje stale podbiegunowe zimno (—54 stopnie). Z tego powodu kabina musi być ogrzewana i to elektrycznie.

Obecny samolot komunikacyjny, zużywa moc silnika jedynie na sam lot. Aeroplan stratosferyczny będzie już w całem tego słowa znaczeniu samodzielną, latającą fabryką, która zaopatrzy pasażerów w powietrze, ciepło, a nawet światło.

Konstruktorzy, pracujący nad samolotem, wyposażonym w takie skomplikowane i kosztowne urządzenia, muszą się widocznie wiele spodziewać po tym przyszłym tworze genjuszu ludzkiego.

I rzeczywiście! już pierwsze enuncjacje i obliczenia teoretyczne inżynierów pozwalają nam spodziewać się przekroczenia fantastycznej dotąd szybkości 1000 kilometrów na godzinę. Samolot, lecący z tą szybkością, odbędzie podróż z Warszawy do Nowego Jorku za kilka godzin, zaś prawdziwa podróż naokoło świata, np. nad równikiem, potrwa mniej, niż dwie doby.

Kiedy nastąpi pierwszy lot pasażerski w stratosferze? — trudno to dokładnie określić, nawet, gdy się weźmie pod uwagę olbrzymie postępy techniki lotniczej i możliwość zbudowania odpowiedniego samolotu już w najbliższym czasie. Przypuszczalnie komunikacja stratosferyczna nie rozpocznie się wcześniej, niż za 5—8 lat.

Próbne przeloty nad oceanem na wysokości 20 kilometrów pochłoną jeszcze zapewne wiele ofiar i kosztów. Samolot przeznaczony dla stratosfery musi być jeszcze bardziej niezawodnym pod każdym względem środkiem komunikacyjnym, niż wszystkie dotychczasowe maszyny. Szybkości ponad tysiąc kilometrów wymagają do lądowania olbrzymich i równych lotnisk. Niema mowy o „przymusowem lądowaniu" dla stratosferycznych kolosów, mimo, że będą one przystosowane do siadania zarówno na lądzie, jak wodzie.

Jedno wielkie rozczarowanie spotka tych, którzy szukaliby w podróżach stratosferycznych nadzwyczajnych wrażeń szybkości, lub chcieliby się rozkoszować widokiem ziemi z ogromnej wysokości. Wrażenie szybkości przy locie prostolinijnym (a takim będzie lot nowych olbrzymów) zanika zupełnie; samolot zaś będzie się wydawał przedmiotem nieruchomo zawieszonym w przestrzeni. Ziemia zniknie z oczu podróżników w stratosferze. Nawet w pogodny dzień lekkie opary tworzą przy tej odległości od ziemi nieprzenikliwą szarą zasłonę, nieciekawą do oglądania.

Sam lot, idealnie spokojny, bez wstrząsów i t. zw. „dziur" powietrznych, cechować będzie brak jakichkolwiek zaburzeń i zjawisk atmosferycznych. Oczywiście spowodu zaniku widoczności pokierują całym lotem przyrządy nawigacyjne i radjo, które jeszcze w lotniczem zastosowaniu wymaga wielu ulepszeń ,aby mogło bezpiecznie wspierać komunikację nad oceanami.

Ze względów pacyfistycznych samolot stratosferyczny posiadać będzie bardzo dodatnią stronę... oto o dziwo, absolutnie nie nadaje się on do celów wojny. Samolot o tak wielkich szybkościach jest bardzo niezgrabny i niezwrotny i dlatego nie można na nim walczyć w powietrzu. Oczywiście również zupełnie jest niemożliwe bombardowanie z niego i obserwacja, nie mówiąc już o tem, że do przewożenia wojska na obce terytorjum nie nadaje się spowodu braku odpowiednich lotnisk.

Zygmunt Czyżowski.



Na lewo: Willey Post.



Powyżej: Samolot Willey Posta „Winnie Mae".



Na lewo: Oto jak będzie wyglądał samolot-autobus, przystosowany do lotów stratosferycznych.



Poniżej: Prof. Piccard wsiada do gondoli balonu, który za chwilę uniesie go w stratosferę.

BROŃ ZWYCIĘZCY









*Powyżej od lewej: **Szpada** jest w całem tego słowa ...zeniu bronią sportową. — Stalowe brzegi **dysku** ujęły silne męskie dłonie... — Przed chwilą struny na **rakiecie** zawodnika wyśpiewały ...n jego zwycięstwa... — **Oszczep** był klasyczną bronią żołnierzy w starożytności...*



*Za chwilę **kula** wyrzucona niczem z katapulty, pomknie wdal boiska i wglądaje na linji rekordu...*

Na zielonym dywanie boiska błyszczy jasna, kolista płaszczyzna, ujęta w drewnianą ramę, za którą wnet stanie rosła dziewczyna, by wywalczyć dla barw swego klubu pierwsze miejsce w rzucie dyskiem... Już mocna, męska jej dłoń ujęła płaski krążek, na którego brzegach lśni stal w promieniach słońca... Młodzieńcza postać, złamana nagle niczem łodyga rozwijającego się kwiatu, chyli się ku ziemi — potem szybkim ruchem skręca się w bok i jak precyzyjnie działający mechanizm, którego podstawa — para strzelistych nóg — jakby wrosła w ziemię, wraca ruchem przyspieszonym do pierwotnej pozycji — ramię, daleko wyciągnięte, wyrzuca z nadludzką siłą połyskujący krążek, który po sekundach ląduje w miejscu, gdzie powiewa kolorowa chorągiewka z cyfrą rekordu... A zawodniczka stoi jeszcze chwilę z wyciągniętą przed siebie ręką, zasłuchana w melodję, którą codopiero wyśpiewał na cześć mistrzyni dysk, prujący powietrze.

★ ★ ★

Jeszcze jeden moment zapiera dech tysiącom widzów... Na rozległym stadjonie wre walka o piłkę — zacięty bój prowadzą drużyny, z których jedna zostanie leaderem tabeli ligowej... Środkowy napastnik białoczerwonych przejął właśnie piłkę od łącznika i mknie z nią jak strzała ku bramce przeciwnika... Na jego drodze, zda się prostej, jak wyciągnięta struna, wyrastają niczem monolity dwa cienie obrońców — trzeba je minąć za wszelką cenę! Bieg napastnika ulega wahaniom... zaczyna się zabawa w „ciuciubabkę", z której zwycięzcą wychodzi jednostka... Trybuny mruczą jak ocean z zadowolenia — a już po chwili, gdy piłka niczem ptak łopoce w siatce pokonanych, tuż nad ...ową leżącego w pyle porażki bram...rza — pomruk ten przemienia się w ryk...rkanu, wśród którego biją pioruny entuz...mu na cześć zwycięzcy...

★ ★ ★

Dy... kula, piłka, oszczep, rakieta, kij hokej...y — to „broń" sportowca!

J. L.





*Bramkarz przez przytomne schwytanie **piłki** uchronił swą drużynę od porażki...*

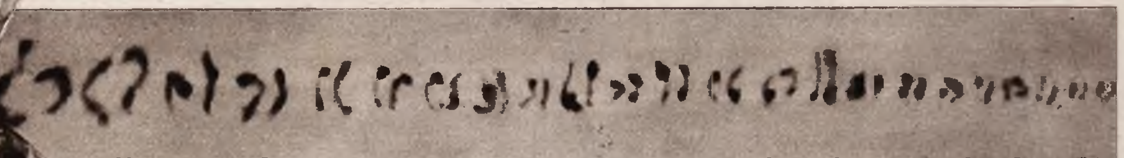


*Na prawo: Wsparty na **tyczce** zawodnik niczem ptak przelatuje ponad poprzeczką...*

*Na lewo: **Kij hokejowy,** kierowany wprawną ręką, wyśle piłkę zawsze pod „właściwym adresem"...*

MUSZKA + OWOCOWA + NA + USŁUGACH + NAUKI





Chromosomy, które u człowieka występują w ilości 48, są kulisto ułożone w jądrze komórki.

Muszka owocowa Drosophila melanogaster silnie powiększona.

Może niejeden słomiany wdowiec, pozostający na własnem gospodarstwie, po otwarciu kredensu zauważył, że smakowity kompot, który pozostawił sobie „na później", został dosłownie oblężony przez mnóstwo maleńkich muszek; niewiadomo skąd, zwabione widocznie miłym dla siebie zapachem, zlatują się tłumnie do spiżarni. Często pani domu musiała zrezygnować ze smakołyków, przygotowanych przez siebie na zimę, niedostatecznie jednak zabezpieczonych przed inwazją tych dwuskrzydłych owadów. Jeśli bowiem zapóźno spostrzegła intruzów, słoiki roiły się już od żarłocznych gąsienic.

Komużby jednak przyszło na myśl, że te małe szkodniki — muszki owocowe (Drosophila melanogaster) oddały wielkie usługi nauce jako materjał doświadczalny do badań nad dziedzicznością. Należą one bowiem do tych zwierząt, które rozmnażają się niezmiernie szybko i ta ich właściwość pozwoliła na dokładne zbadanie przenoszenia się cech z rodziców na potomstwo i wykazania, w jaki sposób te cechy się dziedziczy. Problem dziedziczności przedstawia się niezwykle interesująco, jest on jednak bardzo zawiły. Ciekawi nas przedewszystkiem dziedziczność u człowieka. Ponieważ jednak zjawisko to nie dałoby się tutaj tak szybko zaobserwować, musi się nauka uciekać do materjału doświadczalnego, który stanowią króliki, świnki morskie, kury, a przedewszystkiem wyżej wspomniana muszka owocowa, wreszcie i niektórzy przedstawiciele ze świata roślinnego. Podczas gdy drozofila w przeciągu dwudziestu dni może wydać 8000 osobników, a w ciągu jednego roku kilkanaście generacyj, u człowieka trzebaby na to czekać kilkaset lat.

Ojcem nauki o dziedziczności, zwanej także genetyką, stał się przeor klasztoru na Morawach — Grzegorz Mendel, kórego teoria dziedziczenia cech otrzymała nazwę mendelizmu. Na drodze licznych doświadczeń zakonnik ten doszedł do pewnych praw, które stały się podstawą owej nauki. Nieraz w życiu potocznem mówi się o tem, że syn lub córka odziedziczyli tę, czy inną cechę po ojcu, czy po matce. Mówi się nie tylko o dziedziczeniu pewnych cech cielesnych (piękne włosy, barwa oczu, ładne ręce itd.), ale także i o zaletach duchowych i umysłowych (bystrość umysłu, łagodne usposobienie, subtelność itp.). Często też słyszy się, że chorobę jakąś odziedziczyły dzieci po rodzicach. Cóż my rozumiemy pod dziedzicznością i w jaki sposób pewna właściwość zalet cielesnych, czy też umysłowych rodziców przechodzi na potomstwo? Każda taka cecha wywołana jest przez odpowiedni zawiązek, czyli gen. Gdzież jest siedlisko tych genów? Oto w rodzicielskich komórkach rozrodczych mieszczą się nitkowate ciałka, tak zwane chromosomy. Któżby przypuścił, że te jakby przecinki, czy hieroglify, mieszczą w sobie zawiązek cech, które ujawnią się w potomstwie. Liczba tych chromosomów jest stała i charakterystyczna dla danego gatunku. U człowieka jest ich 48, u pstrąga 12, u salamandry ognistej 24, u drozofili zaś tylko 8.





Powyżej: Chromosomy w jądrze muchy. Jest ich 8. (Liczba chromosomów u poszczególnych zwierząt i roślin jest różna i utrzymuje się niezmiennie przez wszystkie generacje.

U góry: Kolonja muszek owocowych hodowana w zamkniętej watą szklanej butelce.



Na prawo: Głowa muszki owocowej w silnem powiększeniu. Widoczne są olbrzymie oczy, których wielkość i barwa może ulec zmianom przez krzyżowanie.

Cechy dziedziczą się niezależnie od siebie, występując niekiedy jako sprzężone. Zdarza się to wtenczas, gdy takie dwie cechy mają swe geny w jednym i tym samym chromosomie. Takie niezależne dziedziczenie dwóch par cech można zaobserwować właśnie u drozofil, wyhodowanych do tych doświadczeń w zamkniętych próbówkach dla zachowania czystości linji.

Jeżeli uwzględnimy np. u muszki owocowej następujące pary cech: szarą barwę i normalne skrzydła, oraz czarną barwę i szczątkowe skrzydła, to przez skrzyżowanie takich osobników otrzymamy u ich potomstwa, czyli w pokoleniu pierwszem, muchy szare o skrzydłach normalnych. Barwa czarna oraz szczątkowość skrzydeł nie ujawniły się. W drugim już jednak pokoleniu będziemy mogli zauważyć osobniki: szare z normalnemi skrzydłami, szare ze szczątkowemi skrzydłami, czarne z normalnemi skrzydłami, oraz czarne ze szczątkowemi skrzydłami. Podobnie, jeżeli białooką drozofilę z normalnemi skrzydłami skrzyżujemy z czerwonooką ze skrzydłami szczątkowemi, otrzymamy w potomstwie osobniki czerwonookie i o normalnych skrzydłach. Czerwona barwa jest tu dominującą wobec białej.

Muszka owocowa jest ciekawą także i z tego względu, że stosunkowo często zachodzi u niej zjawisko mutacji, czyli nagłego powstawania cech dziedzicznych, przenoszących się z rodziców na potomstwo. Wśród miljonów muszek, hodowanych jako materjał doświadczalny o pewnych charakterystycznych cechach, pojawiały się nagle osobniki, różniące się bądź to barwą, oczu czy ciała, co genetycy tłumaczą zanikiem pewnych genów. Zjawisko to znane było od dawna ogrodnikom i rolnikom; jemu to bowiem zawdzięczano szereg nowych odmian czy ras. Ta właściwość dziedziczenia pewnych nowopowstałych cech znalazła bardzo duże praktyczne zastosowanie u hodowców, którzy krzyżując ze sobą zwierzęta, czy rośliny o pewnych pożądanych dla nich cechach, otrzymywali nowe odmiany. Z badań nad dziedzicznością wyłoniła się także eugenika, mająca na celu utrzymanie i zwiększenie wartościowych, dziedzicznych cech u człowieka.

Niepozorna muszka owocowa rzuciła wiele światła na przekazywanie cech i w doświadczeniach nad dziedzicznością odegrała wybitną rolę.

Dr Z. M.

One nie noszą sukienek. Nie dźwigają torebek. Kapelusz i wszystkie szmatki pozostają za parawanem.

Modelki nie upiększają się. Żadnej kokardki, efektownej sztuczki, twarzowego koloru. Pozostaje tylko forma i kształt. Modelka wychodzi na podjum na palcach, bo dopiero co zdjęła pantofle o wysokich obcasach. Gdy staje na wzniesieniu — nieruchomieje, podobna do kwiatu w cieplarnianej atmosferze studja, przesiąkniętego wonią olejów, farb i czasem perfum. Nie rozmawia, nie robi kokieteryjnych min i ruchów. Potem w przerwie pozowania — przywykła już do swej nagości — odpoczywa. Na prężone dotychczas mięśnie drżą ze zmęczenia.

Być dobrą modelką i umieć pozować, to wyjątek i sztuka nielada.

Umiejętność pozowania polega przedewszystkiem na bezwzględnej nieruchomości, pozwalającej artyście na odcyfrowanie kształtów i form ciała i przeniesienie ich na papier, płótno, lub wylepienie ich w glinie. Modelka musi w obranej przez siebie, lub przez artystę pozie, nieraz bardzo trudnej i męczącej — pozostawać przez dłuższy czas.

Pozować potrafi zasadniczo każdy człowiek. Zwłaszcza kobiecie przychodzi to z zadziwiającą łatwością. Niema zapewne na świecie dziewczyny, którąby nie „uczyła się" chodzić, podawać ręki, któraby się nie uśmiechała do siebie przed lustrem i nie wyczyniała różnych wdzięcznych min, któremi zamierza uraczyć później znajomych. Ale jest to poza na codzień, dla własnego użytku. Właściwie całe życie kobiety wydaje się często pozą. To „pozowanie" jednak nadaje się, być może, dla złapania męża, czy przyjaciela. W żadnym wypadku dla artysty, rzeźbiarza, czy malarza.

Bardzo niewiele kobiet potrafi być modelkami. To wymaga wytrzymałości fizycznej, no i (zaryzykujmy) pewnego sentymentu dla tej karjery, czy też wulgarnie: fachu. I to jednak nie wszystko. Nie wystarczy bowiem być „piękną". Mianem tem zwykło się określać kobietę w życiu. O „piękności" pani decyduje zazwyczaj przedewszystkiem twarz i umiejętnie dla niej dobrane tło. Więc najczęściej: brzydka przyjaciółka, odpowiedniego koloru obicie pokoju, czy łagodne oświetlenie. Wreszcie niemniej ważne akcesorja: piękna suknia, fryzura, kapelusz i szminki czynią z wielu twarzy fatamorgany — znikające w pobliżu miednicy, wypełnionej wodą.

Wieleż to wad, usterek, brzydkich linij i kształtów kryje suknia „pięknej" pani! Modelka dla podkreślenia swej urody nie posiada absolutnie nic. I jeżeli nie jest ona naprawdę pięknie, a przynajmniej ładnie zbudowaną, nie pomogą żadne gorsety, pasy, bandaże, napierśniki, czy „krótkie stany", wykonane przez krawca.

O ile „piękna" pani w życiu codziennem, na ulicy, w salonie, czy w teatrze wydaje się być przeważnie „zaprojektowaną" przez krawca i łatwowierności mężczyzny — o tyle modelka jest tworem natury, kobietą, której dała ona niesklamane kształty.

Jest rzeczą znaną, że kiedyś modelka była osobą, którą rzadko się spotykało, której nie chciało się spotykać, była zjawiskiem wyjątkowem, i bardzo odosobnionem od reszty świata. Nie działo się to oczywiście tylko z powodu nibyto wysoko stojącej moralności, lecz dlatego też, że dawniej ładnie, a przynajmniej możliwie zbudowana kobieta była rzadkością. A przytem zawistny świat kobiet patrząc na modelkę, jako na kobietę, która mogła bez żenady pokazać się nago, pewną swych kształtów — ukuł fałszywą moralność, w imię której było grzechem „paradować" nago przed mężczyznami. A tymczasem modelka spełniała i miejmy nadzieję spełnia, podniosłą rolę służenia pięknu i sztuce.

Powie ktoś: „Dla pieniędzy!" Ależ oczywiście! Trudno wyobrazić sobie, by ktoś męczący się na podjum w sali akademji, czy w studjo artysty przez cały Boży dzień — pozbawiony był żołądka i uczucia głodu, czy wreszcie potrzeby włożenia sukni i płaszcza na ramiona.

Zawodową modelkę spotyka się dziś coraz rzadziej. Jednocześnie ogół przestał uważać, aby pozowanie było czemś gorszącem. Tą dziwną zmianę poglądów zawdzięczać należy również przewrotności kobiet. Młode pokolenie dzięki szeregu procesów nowemu sposobowi życia, modzie i wielu jeszcze innym postulatom — wykazuje coraz wyższą formę fizyczną. Procent mężczyzn i kobiet dobrze zbudowanych wzrósł niepomiernie, i dziś śmiało zaryzykować można



Najsławniejsza modelka ostatnich czasów paryska Kiki. Rysunek wykonany przez japońskiego malarza Fudżitę.





Marietta Lydia, znana paryska malarka, u siebie w studjo podczas pracy.

DZIEWCZĘTA SPOD SZTANDARU BOHEMY





Kisling wraz z modelką w swej pracowni malarskiej w Paryżu.

U góry na prawo: Modelka Carmen, która przed laty pozowała Rodin'owi do rzeźby „Pocałunek" obecnie jest kabalarką.

powiedzenie, że źle zbudowanych ludzi najmłodszej generacji prawie niema.

Kiedy więc modelka przestała być tworem fizycznie wyżej stojącym od innych kobiet — nagość przestała być czemś obrzydliwem i karygodnem. Jednocześnie olbrzymi procent dziewcząt bez różnicy sfery — chętnie będzie pozować, reszta zaś ukrywająca jakieś braki i usterki, wystąpi bez wahania na podjum — nietylko przed artystą — ale publicznie w nadmorskich dancingach, podczas konkursów itd. w kostjumie kąpielowym. Obecny zaś kostjum kąpielowy — przypuszczać należy — jest bezwątpienia bardziej prowokujący, niż zupełna nagość..

Ten wyżej przytoczony stan faktyczny przyczynił się być może w największym stopniu do zanikania zawodu modelki. Fantazja, czy sentyment falangi dziewcząt, które chętnie pozują, stworzyły dla modelki zbyt silną konkurencję.

Między zawodowemi modelkami Paryża znaleźć było można często dziewczyny o dużej kulturze artystycznej i solidności zawodowej. Jeszcze do dziś spotyka się je czasem na Montparnasse. Jedna z nich, pozująca w prywatnej akademji w tejże dzielnicy — co parę dni przygotowywała się do pozowania i studjowała szereg nowych póz, by potem wystąpić z niemi w sali rysunkowej w akademji. Jeżeli się zważy, że podczas popołudniowych rysunków zmieniać trzeba było pozy czasem co minutę, a czas pozowania jednej modelki wynosił godzinę — łatwo sobie wyobrazić, ile musiała ona poświęcić czasu, jaką była pomysłową, a jednocześnie rzetelną, by przygotować pozy ładne, nowe i niemonotonne.

Kilku malarzy paryskich, zapytanych co myślą o modelce zawodowej doby obecnej, wypowiedziało się na ten temat dość interesująco. Oto co mówi Oursin:

— Modelki? Przychodzi ich bardzo dużo. Można je zobaczyć codziennie rano, gdy pukają do moich drzwi, aby zapytać o pracę. Ja jednak nie korzystam z ich usług. Wolę modelki zawodowe. Tych zaś już prawie niema. Jest to zawód, który nie popłaca. 20 do 25 franków za kilkugodzinne pozowanie — to mało. Przytem artyści zbiednieli i wolą korzystać z uprzejmości znajomych i przyjaciółek, które to robią zadarmo.

Te zaś nie potrafią pozować i stać nieruchomo. To męczy. Mojem zdaniem byłoby dobrze, aby przy wielkich teatrach rewjowych powstały szkoły modelek, rekrutujących się z pośród baletnic i statystek danego teatru.

Tyle Oursin. A teraz co mówi znany paryski malarz kobiet Kisling:



Rzeźba Rodin'a p. t. „Pocałunek".

— Kryzys, a także postęp nudyzmu w całym świecie sprowadza do atelier malarzy paryskich dziewczęta różnych narodowości, a także studentki francuskie, które dla opłacenia swych studjów chętnie pozują. Między paniami, odwiedzającemi pracownie malarskie, nie brak też dam z tutejszej burżuazji, które chcą pozować dla sentymentu, czy oryginalności.

— Proszę mi wierzyć — mówi Kisling dalej — że nie brak mi pięknie zbudowanych modelek, jednak wśród nich niema modelek zawodowych. Gdzie się podziały? Zapewno zostały wypędzone przez aktorki kinowe, stróżki, kobiety rozwiedzione i zamężne, przedewszystkiem zaś przez kobiety bogate. Kiki, najsławniejsza modelka Montparnasse'u, jest dzisiaj pieśniarką, cieszącą się powodzeniem. Wiele modelek, jak Carmen, która pozwoliła sławnemu Rodin'owi stworzyć jego rzeźbę p. t. „Pocałunek" — po przekroczeniu pewnego wieku poświęca się innej pracy. Carmen czasem pozuje. Zawodem jej jednak obecnie jest stawianie kabały... Wierzę jednak, że zawód modelki nie zaginie i że po pewnym czasie pojawią się znowu zawodowe modelki w studjach artysty.

M. Lydis — malarka znana ze swych delikatnych i pełnych wdzięku rysunków kobiet i dzieci — posługuje się wszystkiemi modelkami, które jej odpowiadają. Opowiada ona, że zna pewną rodzinę włoską, mieszkającą w okolicy placu Pigalle w Paryżu, której wszyscy członkowie, począwszy od matki i ojca, a skończywszy na różowym i zupełnie „świeżym" noworodku — pozują. Pozowanie jest jedynem źródłem dochodu tych ludzi. Pani Lydis twierdzi, że są to prawdziwi i stuprocentowi zawodowcy. Pan Lydis nie twierdzi, aby modele zawodowe były lepsze. Malując i dobierając specjalne typy, nie może ona zresztą ograniczać się wyłącznie do dobrze pozujących.

Parę lat temu wyszła w Paryżu książka, wydana przez H. Broca pt. „Kiki". Książka ta jest właściwie autobiografją tej modelki, a zamieszczone liczne reprodukcje obrazów Kiki pozwalają sądzić, że obracając się przez wiele lat w artystycznej atmosferze Montparnasse'au, nauczyła się ona wcale nieźle malować.

Kiki to imię znane między artystami całego świata. Warto więc zamieścić parę danych, odnośnie do życia tej Francuzki.

Kiki po ukończeniu 12-go roku życia opuściła szkołę, nauczywszy się pisać i rachować i wyjechała do Paryża. Mając 13 lat, zaczęła zarabiać. Dochody jej wynosiły 4 franki dziennie. W tym czasie wypowiedziano wojnę. Kiedy Kiki skończyła lat 15, znajdujemy ją u piekarza, gdzie za 30 franków miesięcznie sprzedawała pieczywo. Po jakimś czasie straciła ona posadę i wtedy, nie mając żadnej nadziei na uzyskanie czegoś nowego, zgodziła się na propozycję jakiegoś staruszka rzeźbiarza, któremu pozowała.

Pech chciał, że pracownia rzeźbiarza znajdowała się w pobliżu domu, w którym mieszkała matka Kiki. Ludzie donieśli matce o nowem zajęciu córki i w rezultacie po gwałtownej scenie między dwiema kobietami — Kiki zabroniono dalej pozować. To było pierwsze zetknięcie się ze sztuką. Stopniowo stała się ona popularną wśród artystów Montparnasse'u i zaczęła zarabiać parę franków na skromne życie. Jeszcze przed rokiem 1918 Kiki pozowała głośnemu malarzowi włoskiemu Modigliani'emu i Utrillo. Dwa lata między 1918 a 1920 spędziła Kiki w fabryce kartonaży, poczem wracała znowu na Montparnasse, z którym nie rozstaje się już do dnia dzisiejszego. Kiki pozowała Kislingowi, była modelką japońskiego malarza Fudżity, pozwoliła wykonać Man Ray'owi szereg swych fotografij i znała poza całą falangą znakomitości paryskiej dzielnicy malarzy także głośnego mecenasa sztuki — Zborowskiego.

Gdy otworzono na bulwarze Montparnasse bar „Jockey" — modelka Kiki zaczęła występować w nim w roli piosenkarki. W tej odrapanej budzie, które tak bardzo lubi Paryż, spotkać można było sławy artystyczne, aktorskie i literackie całego świata. Kiki, nie posiadając głosu, potrafiła jednak jako stuprocentowa Francuzka oczarować Paryż i wszystkich, którzy „Jockey" odwiedzali, swym repertuarem i swoim esprit.

Około roku 1929 nastąpiły w „Jockey'u" jakieś nieporozumienia między właścicielem tego lokalu a Kiki. Na skutek tych nieporozumień Kiki przestała występować w „Jockey'u", by powrócić do niego po paru latach.

Dziś Kiki nie pozuje już. Podobno cieszy się ona nadal sławą pieśniarki. W ten sposób zakończyła się karjera najsławniejszej modelki ostatnich lat.

Tak więc, choć nie na zawsze może, zanika typ modelki zawodowej. Nowe czasy wyparły już tyle postaci poza krąg życia, iż nie wydaje się nam to dziwne.

Zwolna modelka — dziewczyna z podjum, ofiarowująca widok swego pięknego ciała młodym i jeszcze nieznanym artystom — zaczyna stawać się postacią romantyczną. Jak obraz XIX wieku, pełen panów Duval, królów, kochających Małgorzat, pań de Merode, skandalicznych Maksimów, donkiszotowskich Wright'ów i Buffalów, szarzeją postacie modelek, zatracając swój powab.

J .M. B.

MONTPARNASSE...

Fot. Van de Poll — Paryż.



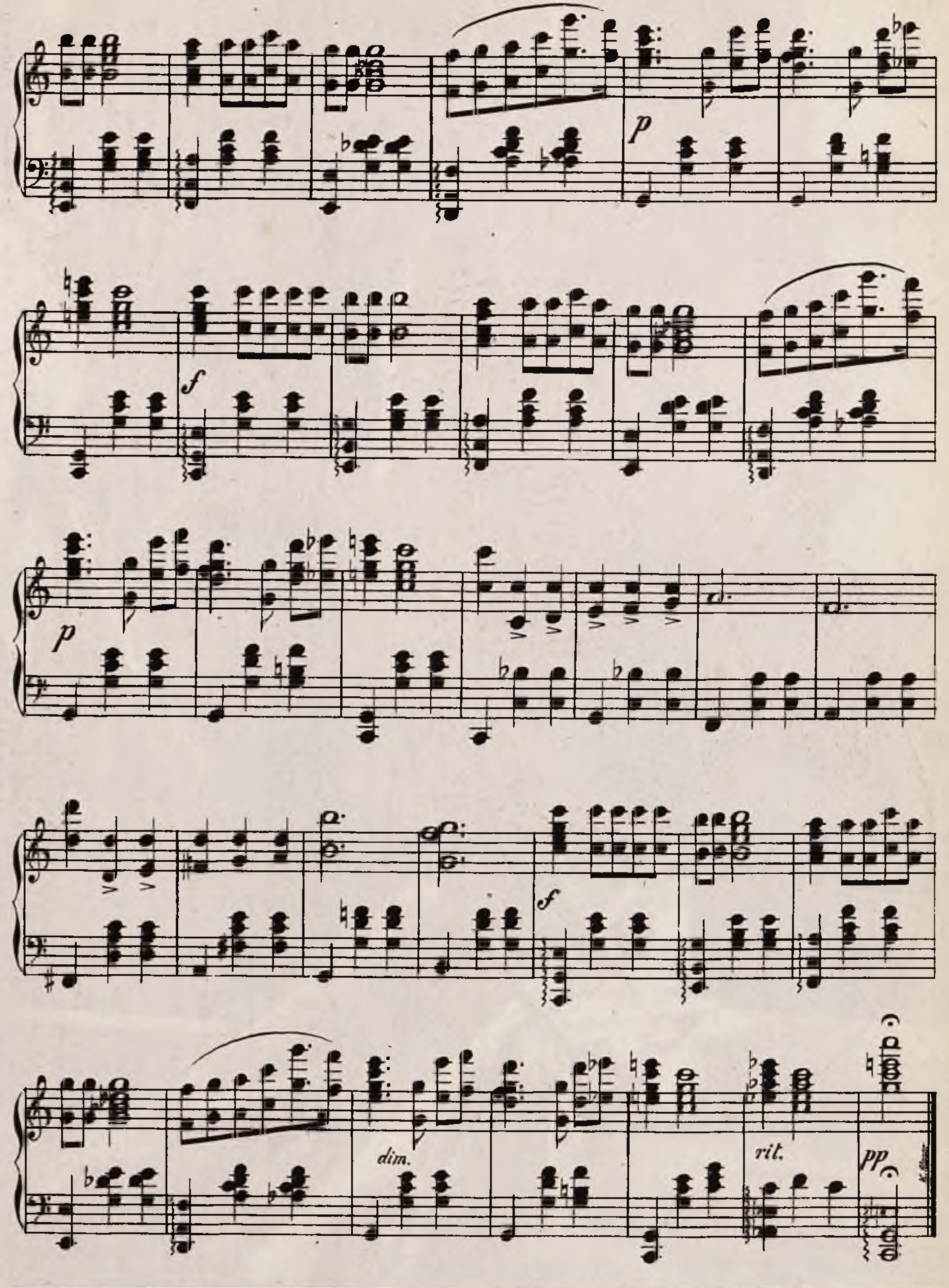
NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

Walc sentymentalny

ROMAN SCHNITZER

Tempo di valse.







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 17.

Napisał H. WILD — POWIEŚĆ — Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

— To, że zdołałem ocalić panią, jest mojem szczęściem — i zapłatą tak wielką... Nie wie pani nawet jak wielką!

Słysząc ten głos jego gorący, płynący z głębi duszy, powiedziałem sobie: „Czas już zostawić ich samych... umykaj stary — i to prędko!" Znalazłem jakiś pretekst i zgubiłem się. Spodziewałem się nieprędko zobaczyć mego Harcourta... Aż tu, w niespełna kwadrans, zjawił się już przede mną. Zdumiałem się.

— Przepraszam cię — może to wielka niedyskrecja z mej strony — ale chciałbym wiedzieć, co powiedzieliście sobie? — rzekłem.

— Dziękowała mi w dalszym ciągu za ocalenie. Potem rozmawialiśmy o Mr. Koo. Żądała szczegółów. Musiałem opowiedzieć jej, w jaki sposób zginął. — Nie — nie okazała żadnego żalu. Za bardzo cierpiała przez niego! Nie jest jeszcze w stanie filozofować, tak jak my, na temat tej wielkiej pomyłki, jaką stanowią mieszane związki, między osobnikami białej i żółtej rasy i tragedyj, jakich są najczęściej przyczyną...

— Tak — rzekłem — my, jesteśmy widzami — ona była aktorem w jednej z tych tragedyj... Ale nie o to pytam. Chcę wiedzieć, czy mówiliście o waszej miłości?

— Nie — jeszcze nie. Nie śmiałem... — odpowiedział ku wielkiemu memu zdumieniu. Przeszedł się kilka kroków po pokładzie i, wracając ku mnie, mówił: — Tak, nie miałem odwagi... Czuję się onieśmielony przed nią... Rancé — powiedz, co to znaczy?... Nie jstem przecież tchórzem! Nie byłem nim dotąd nigdy — w żadnej okoliczności mego życia. — A tu...

Patrzył chwilę w zamyśleniu na bezkres morza przed sobą. Potem zwrócił się znów do mnie:

— Bo widzisz, Rancé — ona jest wszystkiem dla mnie... Wszystkiem! — Dla niej gotów jestem zmienić całkowicie życie... Zarzucić plany moje i projekty — wyrzec się mych pragnień — gdyby tego zażądała... Ona jest panią mego życia — mego losu. Lina! — Lina! — wyszeptał.

— Kochasz ją bardzo — wyrzekłem.

— I w tej miłości jest całe moje szczęście! — Chcesz, żebym jej mówił o miłości? — Pocóż się spieszyć, Rancé! — Czuję, że odgadła wszystko — a w głosie jej usłyszałem odpowiedź na moje nieme wyznanie... Gdybyś ty wiedział, jak ona przed chwilą ze mną rozmawiała! Jaka była urocza! — Nie chcę jeszcze mącić jej spokoju... Duet nasz miłosny może poczekać... Pierwej niech spokój i uczucie zupełnego bezpieczeństwa zawładnie w pełni jej duszą. W Hong-Kong dopiero... Tam uproszę ją, aby się zgodziła na ślub — jaknajprędzej...

I zaczął znów piać pochwalny hymn na cześć ukochanej.

— Bo wiesz, Rancé, kiedy rozmawiała teraz ze mną, zdałem sobie sprawę, że jest nietylko piękna ale i niezwykle inteligentna. Tyle ma wdzięku, kiedy mówi — tyle swobody w wyrażaniu się! — Jakąż to będzie rozkoszą rozwijać jej umysł...

I tak dalej — i tak dalej... Może Pan sobie dośpiewać wszystko, co jest w stanie rozpowiadać na taki temat, człowiek, oszalały z miłości. Gadał i gadał... A ja, uśmiechałem się tylko. Cieszyłem się jego radością. Cienia nie było już we mnie zazdrości. Zdecydowanie stłumiłem w sobie wszelki miłosny poryw do tej kobiety... Oczywiście, byłbym chętnie pomieniał się na role z moim przyjacielem... Ale przecież nie można tego nazwać zazdrością! Wiedziałem, że nie byłbym w stanie zająć przy niej miejsca człowieka, którego uważałem, pod wszelkimi względami, za stojącego tak nieskończenie wyżej od siebie. Uznawałem w pełni, że on jeden tylko ma do niej prawo. Gdybym był myślał inaczej, byłbym nieuczciwy.

Nadeszła chwila południowego śniadania. Harcourt poszedł sam po nią. Usprawiedliwiał się, że tak nędznym posiłkiem może ją tylko uraczyć. A przecież, przez całe przedpołudnie, nic, tylko wydawał polecenia kucharzowi! Muszę przyznać, że nie odniosły one zbyt świetnych rezultatów... O jednem tylko mogę pana zapewnić: pasażerka nasza, czuła się tak szczęśliwą, iż dnia tego byłaby spożyła ze smakiem nawet kawałek liny okrętowej, usmażonej na oliwie do smarowania maszyn!

Rozmawialiśmy przy stole. To jest: Harcourt rozmawiał z nią — a ja, dyskretnie, dorzucałem od czasu do czasu, jakieś słówko. Oczywiście żadnej, najdrobniejszej nawet aluzji nie robiliśmy do tych pięciu lat, które spędziła w Swatow. Pięć lat! — Boże mój — biedna mała!

Widzi pan, zatopiłem się nadobre w przeszłości! Wspomnienia przesłoniły mi całkiem dzisiejszą panią Vernod — i jej niewierność dla tych wspomnień... Widzę ją taką, jaką była wówczas, na pokładzie Fai-Tsi-Longa... I dziś jeszcze trudno mi uwierzyć, że wówczas nie była taką, jaką mi się wydawała. Są w niej chyba dwie kobiety. Ale ta, na Fai-Tsi-Longu była naprawdę czarująca! Prosta, szczera — bez cienia pozy. Zdawała się być pełna inteligencji i zrozumienia. Naprawdę, ubierałem ją wtedy we wszystkie doskonałości, w jakie stroił ją Harcourt. Była uosobieniem wdzięku. I te oczy jej — to jej spojrzenie dobre, uczciwe!

Należało przedewszystkiem wymazać całą tę przeszłość, tak bliską jeszcze dla niej... Z chwilą, kiedy weszła na pokład Fai-Tsi-Longa, zaczęło się jej nowe życie. Brama, którą w nie weszła, powinna była otworzyć się na samą radość życia i nadzieję. Staraliśmy się więc rozerwać ją i rozweselić, wiodąc z nią swobodną i lekką rozmowę. Harcourt dnia tego był jeszcze świetniejszy, niż zazwyczaj. Mogła więc zdać sobie sprawę, że nie miała — jak to mówią — byle kogo przed sobą! Wiedziała już, że on był jej prawdziwym oswobodzicielem i całem zachowaniem dawała mu to odczuć. Owe starania i troskliwość, jakiemi otaczał ją — ta delikatna uwaga, z jaką wybrał dla niej piękną suknię w Szanghaju — wszystko to, w mojem rozumieniu, nie mogło nie poruszyć jej silnie i głęboko. Uderzył mię wy-

raz pełen powagi, wzruszenia i podziwu, z jakim chwilami patrzyła na niego. Mówiłem sobie: „Kiedy kobieta patrzy z takim podziwem na mężczyznę, niema dwóch zdań, że miłość wchodzi tam w grę... Oba statki zdążają tu, jak widzę, z tym samym towarem, ku sobie... Jeszcze trochę, a i ona, ze swej strony, zacznie hajcować, na pełną parę, pod kotłem...

— Co pani zrobiła ze swym chińskim strojem? — zapytałem.

— Rzuciłam go do morza przez okno w kabinie — odparła, odymając z obrzydzeniem wargi. — Nigdy już nie wdzieję tych wstrętnych łachów! — Nigdy już — nigdy! — zaczęła powtarzać śpiewnie, na radosną nutę.

— Żal mi będzie za nim — rzekł na to Harcourt — bo była pani urocza w tym stroju. — Zresztą pani jest piękną, zawsze i we wszystkiem! — dodał z wielką powagą.

A ona odczuła, że to co mówił, nie było mdłym komplementem. Przypatrzyła mu się uważnie i spoważniała również. Zdawało mi się, że coś, jakby niepokój, zmącił jej rysy... lecz było to tak przelotne, że nie przywiązałem do tego większej wagi. — Z biegiem lat, kiedy wskrzeszałem często te wspomnienia, zacząłem może kłaść za duży nacisk na takie szczegóły... Ale jednego jestem pewny: bezpośrednio po owych słowach Harcourta, zwróciło to moją uwagę, iż z mniejszem ożywieniem brała udział w rozmowie... Wyglądała, jakby zastanawiała się nad czemś. Była wyraźnie roztargnioną. Raz po raz chwytałem jej oczy, jak z prawdziwem i głębokiem wzruszeniem kładły się na twarzy mego przyjaciela. Kochała go więc... Jeszcze dziś widzę te oczy! — Kochała go z wszelką pewnością.

Lecz dzisiaj, wszystko to już nie obchodzi pani Vernod! Nie przypomina już sobie, jak to było kiedyś... Więc, widzi pan, ja — nie rozumiem już nic z tego wszystkiego!...

Skoro tylko śniadanie dobiegło końca, opuściliśmy spiesznie niechlujną jadalnię Fai-Tsi-Longa. — Lina oświadczyła, że chce wyjść na pokład. Ten pokład! Daleko mu było, zaiste, do spardecku luksusowego transatlantyka! W życiu nie widziałem czegoś tak zagracowanego i zapchanego! Prawdziwy labirynt bud, pordzewiałych maszyn, zwojów starych lin i łańcuchów! Ale czegóż innego można się było spodziewać na takim starym gruchocie! Można było przysiąc, patrząc na to, że ta stara krypa żeglowała już za czasów kartagińskich! Bo trudno oznaczyć nawet wiek takiego zabytku...

Ale gdyby pan ją widział na tym pokładzie! Przeszkody nie istniały dla niej — skakała przez nie, jak łania! Radość niosła ją poprostu — zdawała się tak lekką, że najmniejszy powiew byłby ją uniósł. Śpiewała... Poprostu, ptak, który się wyrwał z klatki.

Harcourt patrzył na nią i wargi jego szeptały coś. Odgadywałem, jakie wymawiał imię... „Lina, Lina!" — wołał na nią, tak pocichu, jakgdyby go mogła usłyszeć. Wzruszającem było widzieć to jego onieśmielenie — jak, z bijącem sercem odsuwał chwilę wyznania — on, taki silny, taki zdecydowany zwykle! Zna pan to indyjskie przysłowie: „warkocz kobiety jest silniejszy nad wszelkie łańcuchy"...

Wyszła z nim na mostek kapitański. Płynęliśmy jeszcze wtedy ciągle w kierunku na Hong-Kong. Morze było spokojne i sunęliśmy tak dzielnie, jak tylko nasza krypa była w stanie sunąć. Myślałem sobie, że tam w górze, na kapitańskim mostku, „zakochani", jak już nazywałem ich w duchu — musieli już w tej chwili zacząć robić sobie zwierzenia... Przecież to spojrzenie, które na niego rzuciła, to była miłość... I dziś jeszcze pytam się siebie: „Czyż to możliwe, żeby go nie kochała?"

Nie myślałem już teraz wcale o kłopotach. Ostatecznie, dzięki moim zeznaniom, jako świadka, wersja o zniknięciu kapitana — a na wypadek odnalezienia jego ciała, zręcznie podsunięta hipoteza samobójstwa — mogły się przyjąć. Dawny kapitan Fai-Tsi-Longa nie miał dobrej reputacji. Śledztwo w sprawie jego zniknięcia, nie będzie pewnie przeprowadzone zbyt ściśle...

Kiedy spoglądałem na lazur morza kąpiący się w jasnem słońcu, wszystko przedstawiało mi się w zupełnie innem świetle, niż poprzedniego dnia, w nocy, na świeżo po tych koszmarnych przejściach.

XVII.

Około piątej popołudniu stałem jeszcze oparty o reling, oddając się słodkiemu dolce far niente, kiedy usłyszałem nagle głosy od strony żelaznych schodków, prowadzących z mostka kapitańskiego. Poznałem głos Harcourta. Rozmawiał widocznie z Liną, bo mówił po francusku. Wychyliłem się zpoza komina wentylatora i ujrzałem, że zmierzają w moim kierunku. Zatrzymali się kilka metrów ode mnie. Powtórzę panu dokładnie całą ich rozmowę, bo słowa, które usłyszałem, jakby się wryły w mą pamięć. — Pytała go, kiedy staniemy w Hong-Kong?

— Jutro, około szóstej rano — odrzekł. — Tak spieszno więc pani opuścić ten okręt? — uśmiechnął się do niej. — A przecież, tutaj, na nim, zaznała pani pierwszych radosnych chwil. — Oczywiście, podróż na tym samowarze, nie można nazwać luksusową...

— O — gdybym tak myślała, byłabym naprawdę niewdzięczną — nie względem Fai-Tsi-Longa — ale względem jego kapitana. — I podniósłszy na niego te cudne oczy, nagle onieśmielona zaczęła: — Nie zapomnę nigdy.

— Muszę — przerwał jej Harcourt i urwał też skolei. Objął ją całą niespokojnem wejrzeniem i widocznie nagle powziął stanowczą decyzję, bo zaczął mówić szybko — słowa poprostu pchały mu się same na wargi!

— Pani... Jutro rano staniemy w Hong-Kong... Możliwem jest, że czekają mnie tam poważne trudności... W każdym razie, będę bardzo zajęty przez kilka dni i nie nadarzy mi się może prędko szczęśliwa sposobność, by znaleźć się z panią, tak jak dziś, na osobności. Okoliczności mogą rozdzielić nas chwilowo — i nie prędko będę mógł powiedzieć pani... Ach! — widzi pani, kiedy po raz pierwszy schroniła się pani na Fai-Tsi-Long — kiedy chciałem nakłonić tego nędznika, aby przyjął panią na swój okręt — od tej chwili piękność pani — to wszystko, co pani wycierpiała — porwały mnie... Pokochałem panią...

Widziałem, że zbladła na te słowa i chciała mu przerwać.

— Nie — wyrzekł spiesznie — niech pani pozwoli mi skończyć... Pokochałem panią i poczułem, że to już na życie całe... Pojechałem w tę podróż potem, podczas której ułożyłem cały plan oswobodzenia pani. Cały czas myślałem tylko o pani... To dziecińswo — wiem — ale nawet ta suknia, którą pani ma w tej chwili na sobie... Taki byłem szczęśliwy, wybierając ją! Widziałem już postać pani uroczą w tem odzieniu... Zdawało mi się, że mam panią żywą, obecną, przy sobie... Wczoraj udało mi się porwać panią — i miłość moja wzmogła się — jeśli to było jeszcze możliwe... Ukochana — ty, którą wywalczyłem, zdobyłem — powiedz, że kochasz mnie także... Czy chcesz, bym uczynił z ciebie moją żonę?

Zapanowała chwila dziwnego milczenia. Czekałem, kiedy rzuci mu się na szyję. Harcourt stał przed nią wyprostowany, twarz jego promieniała szlachetną dumą. A ona pobladła jeszcze i patrzyła też w niego. Zobaczyłem, jak w pewnej chwili poruszyła się, jakgdyby chciała rzucić się ku niemu... Napewno widziałem ten ruch, natychmiast pohamowany... On wtedy pochylił się i z wyrazem szczęśliwej ufności, ujął ją za rękę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



...usłyszałem nagle głosy od strony żelaznych schodków.

TANECZNA POZA...
Doryta Brown z zespołu Mary Wigman.
Fot. Dorvyne-Paryż.



Z ZAGADNIEŃ nowoczesnego mieszkania



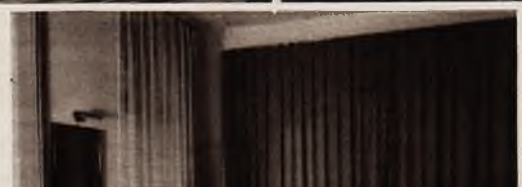
Na lewo: Szafa sięgająca aż do sufitu, przedziela szeroki przedpokój. Tylnia jej ściana zaopatrzona w wieszadła i lustro.



Miły kącik w pokoju jadalnym, gdzie piecyk obudowano szafką na szkło i likiery.

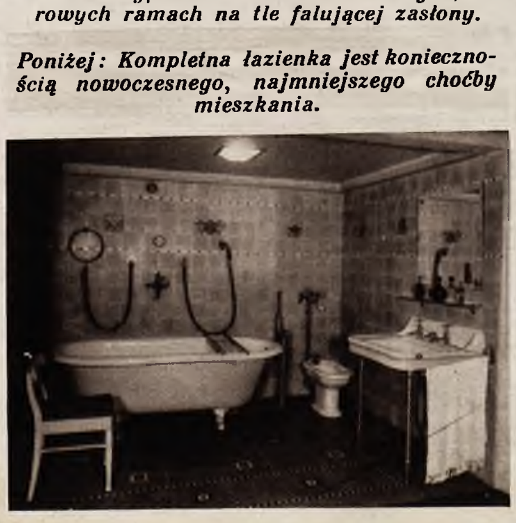


Pokój dziecinny z wygodnym tapczanem i dużym, niskim stołem. Pod oknem szafeczki na książki i zabawki.



Skromna sypialnia. Łóżka na stalowych, rurowych ramach na tle falującej zasłony.

Poniżej: Kompletna łazienka jest koniecznością nowoczesnego, najmniejszego choćby mieszkania.



Musimy się na długo a może i na zawsze pogodzić z faktem, że duże mieszkania należą do niepowrotnej przeszłości. Już nawet małym dzieciom trudno opowiedać bajeczki o pewnej królewnie, która biegając po różnych komnatach zamku swego ojca, natrafiła raz, na zupełnie sobie nieznany, pokój szczytowy we wieży...

Mamy niewielkie i raczej małe mieszkania i znamy doskonale ich wszystkie kąty, w których zamyka się życie większych i mniejszych rodzin. Małe mieszkanie lepiej zresztą odpowiada nawet i temperamentowi nowoczesnego człowieka, który marzy dziś nie tyle o przyjemnościach domowych, ile o własnem aucie i domku week-endowym, przy pomocy których można opuszczać przepełnione wyziewami mury miast i szukać wolnych przestrzeni, wraz z ich swobodą, powietrzem i impulsem do rozmachu życiowego.

Niemniej część życia spędzamy w mieszkaniu, więc urządzamy je jak najwygodniej, dostosowując do potrzeb indywidualnych Architektura i sztuka dekoracyjna przychodzą nam z pomocą, wyposażając coraz częściej mieszkania w części składowe urządzenia wnętrz. Idziemy w tym kierunku coraz dalej i możnaby powiedzieć, że jedynie łazienka czy pokój kąpielowy spełniają już bez reszty tak pomyślany cel swego przeznaczenia. Łazienka bowiem wyposażona jest z góry we wszystkie potrzebne urządzenia i przybory, podczas gdy całość mieszkania należy wyłącznie jeszcze do urządzenia przez lokatora. Być może, że i to się z czasem zmieni na lepsze, że jak nie sprowadzamy się do nowego mieszkania z wanną i piecem gazowym, tak nie będziemy potrzebowali troszczyć się w przyszłości o wiele części składowych urządzenia.

Szafy w niszach, czy też kryto w murach urządzone, zainstalowane lampy, przystosowane do charakteru mieszkania, to już droga, wiodąca w tym kierunku, aby odciążyć poszczególne jednostki z kłopotu posiadania tych właśnie urządzeń. Idziemy w tem zresztą za dobrym przykładem tych czasów, gdy budując pałace mieszkalne, myśleli architekci odrazu o ich przystosowaniu do przyszłego umeblowania.

Potrzeby te dyktuje także i samo życie. Mieszkania stają się coraz mniejsze, a jednak spełnić muszą takie same zadania, jak liczne amfilady pokojów po pałacach. Toteż wynalazczość specjalistów w tym fachu poszła nawet dwoma torami. Jedni starają się jak najwięcej uzyskać przestrzeni wolnych wewnątrz murów, poszerzając je przytem z konieczności. Drudzy są zwolennikami cienkich ścian, a zato stwarzają całkiem nowe metody w meblarstwie. Widzimy to przedewszystkiem w Anglii. Chcąc wyzyskać małe przestrzenie pokoi, a mieć przytem wszelkie wygody i dużo miejsca na rozmaite drobiazgi domowe, bez których nie da się pomyśleć żadne bujniejsze życie członków rodziny, postawiono nową zasadę, która polega na tworzeniu takich mebli, aby miały podwójne półki czy blaty. I tak stół, który dotąd zajmował cały środek pokoju, nietylko że został usunięty w jakiś zaokrąglony naprzykład kąt, ale jeszcze dostosowano go do tego zaokrąglenia, a przytem wierzch wykonano z płyty szklanej, pod którą znajduje się jeszcze druga taka sama płyta, przez co na tej samej objętościowo ilości miejsca, zyskano dwa razy więcej możliwości do ustawiania zastawy stołowej.

Ta maniera, rozszerzona na inne stoliki i szafki czy kredensiki, daje bardzo korzystne możliwości w wyzyskaniu miejsca do ustawiania domowych drobiazgów. Inny rodzaj podwójnego wykorzystania przestrzeni dają łóżka t. zw. kabinowe, a więc ustawiane jedne nad drugiemi. Jest to oczywiście mebel dość skomplikowany. W dzień wygląda tak, jak gdyby nad łóżkiem znajdowała się w głowach szafka z półeczką na drobiazgi. Na noc tę szafkę spuszcza się w dół i otrzymujemy drugie, górne piętro.

(Dokończenie na str. 31-ej).

POD ZNAKIEM GRZYBÓW

Wśród sezonowych potraw, do których składników dostarcza nam przyroda w okresach wegetacyjnych, oczekujemy zawsze pojawienia się świeżych grzybków, których smaku nie mogą naśladować w zimie grzyby suszone, aczkolwiek i te spożywamy z zadowoleniem podniebienia. Aby umiejętność ich różnorakiego przyrządzania, znaną kucharzom i starszym zazwyczaj paniom domu, rozszerzyć na jak największą ilość gospodarstw domowych, podajemy mniej znane przepisy na potrawy z grzybów, przypuszczając, że zwyczajne „dęstowane" grzybki, oraz zupę czy sos, potrafi ugotować każda kucharka.

G r z y b y p o r o s y j s k u: funt maślaków kraje się cieniutko w paski i dusi na maśle z dodatkiem cebuli, pokrajanej również w jak najcieńsze plasterki. Gdy są już zupełnie miękkie, dodajemy do nich po łyżeczce, zagotowaną w osobnem naczyniu kwaterkę śmietanki, przyczem ryneczkę z grzybami stawia się w większem naczyniu z gorącą wodą, nie dopuszczając do zagotowania się grzybów, które powinny tylko parować silnie. Gdy gęstnieją, rozrzedza się je kilkoma łyżkami gorącego mleka, lekko posolonego, poczem wydaje się potrawę w ogrzanej, niezbyt wielkiej salaterce.

G u l a r z g r z y b o w y: pokrajane w ćwiartki (a mniejsze w całości) rydze soli się, pozostawiając je tak na kilka minut. Tymczasem kraje się cebulę w cieniutkie plasterki, posypując papryką w ilości dwa razy na koniec noża i stawia na blasze, aby nabrała jasno-złotego koloru. Następnie wrzuca się do niej osolone rydze i dusi razem w ich własnym soku bez żadnych więcej dodatków. Przed wydaniem posypuje się gularz delikatnie mąką, zagotowuje raz jeszcze i podaje na stół bardzo gorący.

O g ó r k i f a s z e r o w a n e g r z y b a m i: duże ogórki obiera się i kraje na dwie podłużne połowy, wydrążając dokładnie pestki. Osobno przygotować pieczarki, udęstowane na maśle, posolone i nieco popieprzone, a na końcu posypane nieco kminkiem. Napełnia się tym farszem ogórki, układa je w rynce i zalewa osobno przygotowanym sosem pomidorowym. Piecze się je tak długo, aż ogórki zmiękną.

Z u p a p i e c z a r k o w a: przygotować kleik z perłowej kaszki z masłem, który po przetarciu przez sito, rozlewa się smakiem, nagotowanym z jarzyn i paru grzybków. Osobno przesmażyć na maśle drobno poszatkowane pieczarki, rozmieszać je z przygotowanym kleikiem, podprawić śmietaną z żółtkiem i posolić. Do tej zupy najsmaczniejszy jest groszek ptysiowy.

N a l e ś n i k i z g r z y b a m i: Usmażyć naleśniki. Osobno udusić 30 dkg posiekanych grzybów z cebulką z dodatkiem soli i pieprzu, a gdy za gęste i trochę śmietany. Zawijać naleśniki z farszem w ruloniki, smarować je białkiem i taczać w tartej bułce. Smażyć na maśle.

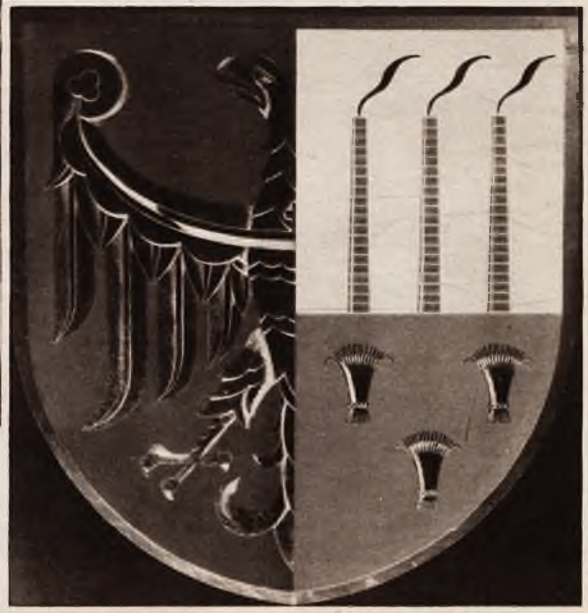
Z i e m n i a k i f a s z e r o w a n e g r z y b a m i: duże, obrane ziemniaki wydrążyć a osobno zrobić farsz z 25 dkg posiekanych pieczarek, zasmażonych na maśle z cebulką, solą, pieprzem i jajkiem, oraz łyżką tartej bułki. Nałożyć farsz do ziemniaków, smarując je przedtem dobrze masłem zewnątrz i wewnątrz. Ułożyć je na blasze, wysmarowanej masłem i piec w rurze, smarując często masłem, aby się nie wysuszyły.

R y d z e k i s z o n e: do kiszenia rydzów przygotować trzeba czystą zupełnie, wolną od jakichkolwiek zapachów, malutką beczułkę, odpowiednie denko i kamień. Układać w beczułce czapki grzybów denkami do góry, przesypuje grubo solą każdą warstwę, z dodatkiem pieprzu i cebuli. Po wypełnieniu beczułki rydzami, przycisnąć grzyby denkiem i kamieniem. Zazwyczaj puszczają one odrazu dość dużo soku, gdyby jednak płynu było mało, trzeba dolać słonej, ostudzonej wody tyle, aby grzyby były przykryte.

ŻYCIE ARTYSTYCZNE

KONKURS NA HERB M. CHORZOWA.





Chorzów, jak przystało na 110-tysięczne miasto, złączone przed dwoma laty z trzech gmin, przoduje obecnie na Śląsku w aspiracjach wielkomiejskich. Zewnętrznym tego wyrazem był m. in. konkurs na herb miasta, w którym pierwszą nagrodę uzyskał projekt p. Heleny Tymienieckiej i p. inż. Nowickiego z Katowic. Dwie dalsze nagrody otrzymali pp. J. Józefowski i J. Czarnecki. Na zdjęciach, które obok zamieszczamy, widnieje projekt herbu Chorzowa i jego autorka p. Tymieniecka, znana radjosłuchaczom „ciocia Hela" z Katowic.

Fot. „Star" — Katowice

NAJNOWSZE DZIEŁO SZUKALSKIEGO.



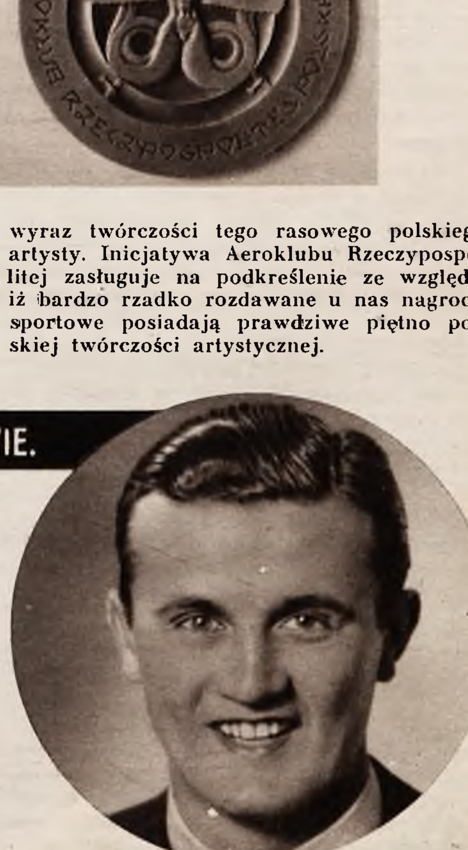
Aeroklub Rzeczypospolitej wybił w Mennicy Państwowej dwa medale pamiątkowe z okazji zawodów lotniczych im. Gordon-Bennetta. Medale wybite nader starannie pod względem technicznym odznaczają się wysokiemi walorami kompozycyjnemi Stanisława Szukalskiego i posiadają szlachetny wyraz twórczości tego rasowego polskiego artysty. Inicjatywa Aeroklubu Rzeczypospolitej zasługuje na podkreślenie ze względu, iż bardzo rzadko rozdawane u nas nagrody sportowe posiadają prawdziwe piętno polskiej twórczości artystycznej.

„WESOŁA WDÓWKA" W WARSZAWIE.

Dawny teatr operetkowy p. Janiny Korolewicz-Waydowej, funkcjonujący obecnie pod nazwą „Widowisko" w Warszawie, przygotowuje z wielkim nakładem pracy i kosztów perłę twórczości kompozytorskiej Lehara — „Wesołą Wdówkę", w której wystąpi w tytułowej roli jedna z najznakomitszych naszych śpiewaczek operetkowych p. Janina Kulczycka.

Stronę choreograficzną imprezy objął p. Eugeniusz Papliński, należący do najwybitniejszych tancerzy i pedagogów polskich, a ostatnio przebywający w teatrach paryskich. W kole: Dyr. Eugenjusz Papliński.

Fot. Forbert — Warszawa





BREWJARZ PIĘKNEJ P★A★N★I

U progu jesiennego sezonu



Jeśli pani nie jest zbyt pewna swobody i gracji swych ruchów, powinna unikać powłóczystych sukien...

Dwa razy do roku bogini Moda święci swoje misterja. Nie pomogły wojny, rewolucje i inne kataklizmy dziejowe, nawet kryzys okazał się bezsilnym. Moda pozostała na swym piedestale, jako jedno z tych nielicznych bóstw, którym wiek XX nadal żyć pozwala. Co wiosnę i co jesień kult jej wzmaga się w sposób gwałtowny, najnowsze jej kaprysy i zachcianki stają się tematem rozmów wszystkich kobiet, a wielcy dyktatorowie Mody święcą swe triumfy. Bo tak chcą kobiety. Każda chce być wytworną, elegancką i dobrze ubraną, a każda wierzy najmocniej, że tylko bałwochwalcza uległość modzie pozwoli jej to osiągnąć.

To nie taka prosta rzecz, moje Panie! Wytworność i elegancja to cechy, które wynikają nietylko z dobrze zaopatrzonej kasy i posługiwania się najlepszemi żurnalami. To są rzeczy wrodzone, których nabyć niełatwo, gdyż wymagają — prócz odpowiedniej powierzchowności i osobistego wdzięku — pomysłowości, indywidualności, poczucia estetycznego i nieomylnego dobrego smaku.

Ale jeśli niekażda może w dziedzinie wytworności i prawdziwej elegancji dojść do perfekcji, każda może uniknąć jaskrawych błędów i nietaktów, wykraczających przeciw dobremu smakowi, a to już jest wiele... Zasadnicze prawidła dadzą się ująć w kilka głównych punktów, które powinny wejść w krew każdej kobiecie, pragnącej należeć do grona „wybranych". Jakież są te przykazania? — Zobaczymy.

I. Już starożytni filozofowie odkryli zasadę, że pierwszym krokiem do wiedzy, jest poznanie siebie samego. Jeśli Pani chce być elegancką, proszę dokładnie i bez uprzedzeń ani zaślepienia przyjrzeć się swemu odbiciu w lustrze. Jeśli sobie Pani zada ten trud, potrafi Pani wyczuć wszystkie swoje możliwości i sprecyzować sobie jasno swój zasadniczy typ. Wszak wszystko, począwszy od



Powyżej: Piękny model kapelusza...



Na prawo: ...i jego karykaturalne pendent

fryzury, skończywszy na fasonie bucików, musi być do typu dobrane, wtedy dopiero osiąga swój cel.

II. Jeśli nie stać Panią na częste bywanie u fryzjera, lepiej z góry się wyrzec loczków i skomplikowanych fryzur, niż obnosić żałosne, rozfryzowane kosmyki, które są w stanie oszpecić najpiękniejszą z Was.

III. Niech Pani pamięta, że prawdziwa elegancja polega na ubieraniu się zawsze stosownie do otoczenia, pory roku i dnia, oraz okoliczności. Chodzenie na dancing w mieście w półbucikach na niskim obcasie, w grubym sweterze i sportowej spódnicy jest równie nieeleganckie, jak włożenie na wycieczkę aksamitnej sukni z głębokim dekoltem.

IV. Jeśli budżet Pani nie pozwala na sprawianie licznych tualet, bezpieczniej z góry wyrzec się kolorów i fasonów zbyt śmiałych i wpadających w oko. Pomarańczowa suknia czy jasno-zielony kasak, zbyt często noszone, staną się dla Pani otoczenia uprzykrzoną i natrętną plamą.

V. Pamiętajmy, że oszczędność i praktyczność mają też swoje granice. Nie można żądać od sukni, żeby była tania i praktyczna, niebrudząca się i łatwa do prania, stosowna na deszcz i pogodę, do podróży i na popołudniową herbatkę — żeby się dało potem z niej przerobić płaszczyk dla Dzidzi lub narciarskie ubranko dla Jureczka. Suknia pomyśla-

na „na wszelkie okazje", okaże się wkońcu niestosowna na żadną.

VI. Nie ufajmy zbytnio zagranicznym żurnalom. Pamiętajmy, że modele w nich reprodukowane przeznaczone są może dla kobiet, żyjących w zupełnie innych warunkach, niż my. Toaleta zaprojektowana przez



Patou dla ks. de Montmorency na wyścigi w Longchamps niekoniecznie będzie odpowiednia dla p. Zuzi Dobermańskiej z Brzeska na chrzciny bliźniąt jej przyrodniej siostry, a szlafroki noszone przez ks. Kentu okażą się do niczego, gdy zechcemy w nich ścierać kurze lub kręcić majonez.

VII. Niech Pani unika tanich efektów i pretensjonalnych pomysłów, gdy nie stać Pani na dobrą krawcową i pierwszorzędny materjał. Źle skrojona suknia z imitacji velour transparent, ozdobiona imitacją szenszylli (czytaj królikami) będzie zawsze śmieszną i wulgarną, a lakierowane na purpurowo paznokcie przy zniszczonych rękach wołają o pomstę do nieba!

Na prawo: Myrna Loy wygląda czarująco w koronkowym peniuarze...

VIII. Powłóczyste suknie, fantazyjnie rozcięte rękawy, szale, szarfy i długie etole z futra wymagają specjalnej umiejętności posługiwania się niemi. Jeśli Pani nie jest zbyt pewna swobody i gracji swych ruchów, bezpieczniej ubierać się prościej i raczej w stylu sportowym.

IX. Niech Pani nie wierzy zbytnio krawcowej, gdy na każdą Pani propozycję koloru czy materjału odpowie: „to już niemodne". Dobrze zrozumiana moda jest przedewszystkiem kwestją linji i stylu i nie wykroczy Pani przeciwko niej, gdy w sezonie, kiedy wszystkie Pani przyjaciółki sprawiły sobie suknie z „cloqué", włoży Pani suknię z crêpe marocain. Niezawsze najelegantsze jest noszenie kolorów i materjałów, które obnosi 85% Pani znajomych.

X. Drobiazgi, przeznaczone jedynie dla ozdoby i wykończenia toalety, muszą być drogie i w dobrym gatunku. Raczej można sobie pozwolić na skromniejszą suknię, ale kwiat do niej przypięty nie może być tandetą.



IX. Eleganckiej kobiecie nie wolno oszczędzać na obuwiu, rękawiczkach i pończochach. Te szczegóły stanowią jakby legitymację prawdziwej wytworności.

XII. Przy pełnych biodrach i niezbyt smukłej linji należy się wystrzegać wszelkich kloszowych baskinek i falban, skracających figurę. Może Pani być pewną, że Mae West nie włożyłaby nigdy modelu, projektowanego dla Brygitty Helm.

XIII. Kapelusz nieodpowiedni do Pani owalu i rysów twarzy nie może być elegancki. Choćby pochodził z najdroższego magazynu, oszpeci Panią i ośmieszy. Jeśli Pani sama nie widzi, że kokarda z różowego aksamitu przypięta do szpiczastego stożka nie jest nakryciem głowy odpowiedniem dla starszej kobiety, a kapelusz o obwodzie średniego koła młyńskiego nie da się pogodzić z krępą figurą i krótką szyją, niech się Pani poradzi męża lub

Na lewo: Piękna pani i jej lustrzane odbicie — Wyżej: Oto jaką chciałaby się widzieć w lustrze niejedna z pań

przyjaciela. Mężczyźni mają naogół więcej zdrowego sensu.

XIV. Miejmy odwagę być indywidualne w stroju i uczesaniu. Nietylko to jest piękne, co zostało zatwierdzone przez oficjalne autorytety mody i utarte przez szablon, lecz to co uwydatnia i podkreśla charakter i typ naszej urody. Pani Moda lubi hołdy, ale mści się złośliwie na tych, które hołdują jej zbyt niewolniczo. Każda kobieta posiada swój styl i wdzięk, który podnieść nie może szablon mody, lecz tylko wytworny smak i znajomość dokładna swych fizycznych zalet i wad.

Ewa Mieroszewska.





Na lewo: Chodzenie na dancing w mieście w ubraniu sportowem jest równie nieeleganckie, jak włożenie na wycieczkę aksamitnej sukni z dekoltem...

Na prawo: Szlafroki, noszone przez księżnę Kentu, okażą się do niczego, gdy zechcemy w nich ścierać kurze...



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA WŁOSKA. Małą główkę włoskiej kapusty pokrajać drobno, sparzyć wrzątkiem, następnie udusić na cebulce, usmażonej z łyżką masła, podlewając od czasu do czasu wodą. Pod koniec przeciera się do kapusty dwa duże pomidory, dolewa potrzebną ilość wody lub rosołu, dodaje soli, pieprzu i szczyptę cukru. Przed podaniem wkłada się do wazy z zupą parę łyżek osobno ugotowanego ryżu i 1 dkg tartego parmezanu, rozciera z ósemką śmietany i zalewa zupą.

RAGOUT Z PODRÓBEK I JARZYN. Podróbka z dużej gęsi ugotować w małej ilości wody z dodatkiem paru grzybków, cebulki, marchewki i pietruszki. Ugotowane mięso obiera się z kostek i kraje wraz z jarzynami drobno. Szyjkę gęsi napełnia się nadzianką sporządzoną z rozmoczonej w mleku bułki, jajka i łyżki masła utartego z żółtkiem (z białka ubija się pianę); o ile nadzianka okaże się za wolna, dodaje się łyżkę tartej bułki. Zaszytą z obu stron szyjkę, gotuje się wraz z podróbką i kraje następnie w plasterki. Rosół odlany z podróbek podprawia się jasną zasmażką z łyżki masła i mąki, dodaje odrobinę gałki muszkatułowej, wkłada pokrajane mięso wraz z jarzynkami, dodaje na drobne różyczki rozebrany osobno ugotowany kalafior i parę łyżek groszku zielonego, również osobno uduszonego. Gęste ragout wyłożone na salaterkę okłada się krążkami wyżej opisanej szyjki oraz małemi knedelkami bułczanemi, sporządzonemi z pozostałej nadzianki.

PASZTET Z KUROPATWY. Ze starszych kuropatw nie nadających się do podawania na pieczyste sporządzić można bardzo smaczny pasztet w następujący sposób. Oczyszczone i szybko wymyte i posolone dwie kuropatwy, owija się płatkami młodej słoniny, owiązuje nitką i dusi pod pokrywą, nalane wodą do połowy wysokości. Dla smaku dodaje się korzeni, jakie kto lubi, oraz małą cebulkę. Uduszone, obiera się z kostek, przemiela parę razy wraz z małą rozmoczoną w rosole z pod kuropatwy bułeczką, dodaje jedno całe jaje i 1 żółtko, oraz pokrajaną w kostkę słoninę, w której się ptaszki dusiły. Formę pasztetową lub zwykłą budyniową naciera się dokładnie surowem masłem deserowem, spód wykłada się cienkiemi paskami słoninki w kształt gwiazdy lub promieni, nakłada dobrze z jajami utarty farsz, kładzie na wierzch płatek słoniny i gotuje na parze przez godzinę. Z formy wykłada się po ostudzeniu. O ile ma być podany na gorąco, należy go ostrożnie wykładać, aby się nie rozpadł

SER JABŁECZNY. Obecna obfitość i taniość jabłek daje sposobność chętnym gospodyniom do sporządzania różnych smakołyków. Jednym z nich jest ser jabłeczny bardzo zdrowy i smaczny deser, za którym dzieci przepadają. Sporządza się go w następujący sposób: Zupełnie dojrzałe jabłka pozostawia się przez 6—8 dni w pokojowej temperaturze np. ułożone na szafie lub w kuchni na wierzchu kredensu. Po upływie tego czasu, wyciera się je dokładnie i gotuje w całości, tj. **nie pokrajane**, nakryte wodą w nowym, nigdzie nie uszkodzonym garnku. Jak tylko zmiękną, wyjmuje się je z wody i przeciera przez włosiane sito. Przetartą masę waży się, zasypuje tą samą ilością cukru, dodaje sok i skórkę z 1 cytryny, pokrajaną w drobny makaronik i gotuje pilnie, mieszając aż od rondla odstaje. Masę wylewa się na płaskie talerze, maczane w gorącej wodzie i suszy w ciepłym piecyku. Obsuszone wykłada się na papier, posypany cukrem i suszy ponownie w miernem cieple przez parę dni z rzędu. Ułożony w pudełkach i przełożony papierem, trzyma się ser jabłeczny przez całą zimę.

OSTRY KOMPOT Z KAWONA W KONSERWIE. Na ten doskonały kompot, nadający się do drobiu lub zmieszany z brusznicami, do dziczyzny, używa się z kawona tylko grubej łupy, którą się zazwyczaj wyrzuca. Łupę tę obiera się ostrym nożykiem z zwierzchniej zielonej łupinki, oczyszcza dokładnie z resztek różowego miąższu i kraje w wąskie, na palce długie kawałki, układa na misce, skrapia suto octem i pozostawia do drugiego dnia, poczem się je gotuje w wodzie tak długo, aż się dadzą przekłuć drewienkiem. Wtedy wylewa się je na sito. aby dobrze ociekły. Na 1 kg owocu, bierze się 1 litr dobrego winnego octu, 50 dkg cukru, sok i skórkę z cytryny, listek bobkowy, 1 dkg całego cynamonu, tyleż angielskiego pieprzu i goździków razem i gotuje w nieuszkodzonym naczyniu, szumując przez godzinę, poczem wkłada się do octu osączone z wody kawałki kawona i gotuje tak długo, aż się staną przeźroczyste. Ostudzony kompot nakłada się do czystego naczynia i przechowuje się w suchem i w chłodnem miejscu.

W ten sam sposób przyrządza się ostry kompot z twardych gruszek zimowych. Po wyjęciu owocu, gotuje się sok jeszcze chwilę, aby nieco zgęstniał.

O kawonie i dyni przyrządzanych na sposób ananasa pomówimy w następnym numerze.

Se. Ko.

SITKO DO PRZECIERANIA OWOCÓW I JARZYN



Dotychczasowe sita, któremi posługujemy się przy przecieraniu owoców i jarzyn, są o tyle niepraktyczne, że trzeba je jakoś umocowywać ponad naczyniem, do którego przechodzi przecierana masa. Sitko, które reprodukujemy na naszej rycinie, ma swą silną podstawkę, pod którą stawiamy naczynie bez dalszego przytrzymywania go w trakcie pracy. Odpowiedni wałeczek ruchomy pomaga znakomicie do szybkiego wykonywania dość żmudnej dotąd czynności przecierania owoców i jarzyn.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 39 **Wrzesień** Dni 30
Niedziela **20** Eustachego	Zupa włoska. Ragout z podróbek gęsich i jarzyn. Pieczeń sarnia z ostrym kompotem. Bomba z melona. <u>Kolacja</u>: Pasztet z kuropatw z sałatą.
Poniedziałek **21** Mateusza	Rosół z płatkami i fasolą. Sztuka mięsa z sosem pomidorowym z musztardą. Dzika kaczka lub domowa z jabłkami. Placek kruchy z śliwkami. <u>Kolacja</u>: Pasticcio /makaron włoski z hachée z mięsa wołowego.
Wtorek **22** Maurycego	Zupa śliwkowa /garus/ z ziemniaczkami. Faszerowane ogórki. Rulada z mięsa cielęcego z jarzynkami. Jabłka z konfiturami pod pianką. <u>Kolacja</u>: Jaja w sosie pomidorowym lub szarym.
Środa **23** Tekli	Zupa ogórkowa. Bukiet jarzynowy. Pieczeń barania na dziko z kluseczkami. Strudel z jabłkami. <u>Kolacja</u>: Sadzone jaja z szpinakiem.
Czwartek **24** Gerarda	Zupa kalafiorowa. Kaszka zacierana zapiekana z twardemi jajami. Pierś gęsia duszona w sosie cebulowym. Kompot mieszany na surowo. <u>Kolacja</u>: Parówki w sosie pomidorowym.
Piątek **25** Władysława z G.	Barszcz zabielany z ziemniaczkami. Kapuśniaczki drożdżowe gotowane. Biała ryba w sosie sardelowym z makaronem. Szarlotka z jabłek i biszkoptów. <u>Kolacja</u>: Ryby wędzone, sery.
Sobota **26** Cyprjana, Ewar.	Krupnik na grzybach. Biała lub włoska kapusta z wody z rumianem masłem i bułeczką. Zraziki cielęce naturalne z marchewką. Kisiel żurawinowy z śmietanką. <u>Kolacja</u>: Wątróbka po wiedeńsku z ziemniaczkami.

HOCKI-KLOCKI

DOKŁADNY.



— Do czego ten metr?
— Mam pewnemu osobnikowi wymierzyć policzek...

Rozwiązania z N-ru 37-go.

W SZKOLE.

Chłopców było dziesięciu i dwadzieścia dziewczynek. Dziewczynki składały sobie 380 ukłonów, chłopcy chłopcom 90, dziewczynki chłopcom i chłopcy dziewczynkom 400, a nauczycielowi razem 30, co daje w sumie 900 ukłonów.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

KOMUNIKACJA LOTNICZA.

Linje lotnicze łączą kilka miast w ten sposób, że tworzą wielobok nieforemny. W miarę rozwoju komunikacji lotniczej przeprowadzono szereg nowych linij w ten sposób, że każde miasto miało bezpośrednie połączenie z wszystkiemi pozostałemi i okazało się, że nowych linij założono trzy razy więcej, aniżeli było miast. Ile było miast i ile linij?

TRZECH ROBOTNIKÓW.

„Ja i Bolek", rzekł Czesiek, „możemy wykonać całą robotę w dziesięć dni, jednak gdybym zamiast z Bolkiem, mógł pracować z Antkiem, to moglibyśmy zrobić wszystko w dziewięć dni".

„Może być jeszcze lepiej", oświadczył na to Antek. „Jeśli ja będę mógł pracować z Bolkiem, to zakończymy robotę w osiem dni".

Jak długo każdy z nich musiałby pracować sam?

JEDENAŚCIE DRZEW.



Gospodarz rozważa dość ciekawy problem. Plan przedstawia kawałek gruntu z nieregularnie rozmieszczonemi jedenastoma drzewami. W jaki sposób można ten teren podzielić na jedenaście części, zawierających po jednem drzewie, stawiając możliwie najmniej przecinających się prostych płotków?

PO LIBACJI.



— Chciałbym dostać w moje ręce tego draba, który mi wymienił palto!

HUMOR ZAGRANICZNY.



Dowódca, dekorujący rycerzy w średniowieczu:
— Majstrze! Pospieszcie się, inaczej nie skończymy dekorowania przed rozpoczęciem nowej bitwy.

„Die Bühne"

(Dokończenie ze str. 8)

„A widzysz te Jaszku na bielym kamieniu,
Rozpuscyłam złoty warkocz po prawem ramieniu,
Jak cy belo miło na ten warkocz patrzec,
Niech cy będzie jeszcze mili talarami płacyc".

Prócz tańców, podczas uroczystości rodzinnych, uczestnicy lubią zabawiać się w granie różnych komedyjek, nie pisanych ani nie drukowanych, ale tak sprawnie oddanych, jak gdyby uczestnicy przynajmniej przez szereg wieczorów się ćwiczyli i odbywali próbę generalną. W czasie wesel bardzo ważnym tańcem jest „brutci tańc" (taniec narzeczeński), przy którym każdy, którego panna m' da prosi do tańca, kładzie złotego na stole. Śliczne są pieśni, śpiewane przy tym tańcu.

Piękne są nie mniej tańce i korowody dożynkowe, lecz te już prawie zanikły na Kaszubach. Spopularyzowaniem ich zajął się gorąco powiat kartuski, gdzie stolica tego powiatu Kartuzy pod tym względem przoduje. Ostatnie bowiem „dożynki" trzech powiatów kaszubskich: morskiego, kartuskiego i kościerskiego, jakie odbyły się w Kartuzach we wrześniu br. były najwymowniejszym dowodem żywotności prastarych obyczai kaszubskich.

Alfred Świerkosz (Wielka Wieś-Hallerowo).

◆◆

Dokończenie ze str. 26.

Wogóle łóżka pozostały zwycięsko na terenie walki z tapczanami, które zdawały się zyskiwać więcej zwolenników, zwłaszcza, że stanęły w sukurs temu staroświeckiemu sprzętowi nowe metody, pozwalające na podwojenie łóżek nie w poziomie, lecz w pionie. Dziś, kto ma większą sypialnę, stawia chętnie szerokie łóżko, a nie tapczan, a komu brak miejsca, każe poszukiwać innych dróg rozwikłania ciasnoty domowej, stara się umieszczać łóżka w niszach lub też posłuży się nowemi modelami łóżek kabinowych.

Zagadnienie szczupłych pomieszkań stawia jeszcze jedno zagadnienie wobec zajmujących go mieszkańców, którzy muszą niejako ciągle deptać sobie po piętach — Trzeba dużo wyrozumiałości, ustępliwości i poczucia porządku domowego, aby mimo niewygód, powodowanych brakiem miejsca, zestroić harmonijnie organizację życia domowego. A o tem zapominać nikomu nie wolno tak dla własnego dobra, jak i swych bliżej czy dalej spokrewnionych współlokatorów. Braki miejsca okupować muszą tak cenne zalety, jak gust w rozmieszczeniu wszystkich mebli i drobiazgów, oraz zachowanie najdalej idących postulatów współczesnej hygieny.

Kto te wszystkie kwestje rozwiąże w małem mieszkaniu pomyślnie, może spokojnie patrzeć w przyszłość małej komórki społecznej, jaką stanowi rodzina.

Mewa.

To warto poznać..

NA SCENIE.

„Cyrulik Warszawski“ daje obecnie, cieszący się olbrzymiem powodzeniem, wodewil satyryczny Tuwima i Hemara **„Karjera Alfa Omegi“**, z muzyką Boruńskiego i Warsa. Dowcipna fabuła wodewilu, wciąż eksplodującego dowcipami i humorem, jest także troszeczkę — jak łatwo widzowie się domyślają — satyrą na karjerę śpiewaczą mistrza wysokiego C, jest również złośliwą wycieczką pod adresem naszej biurokracji i naszej polityki itd. Wiadomo, co Tuwim i Hemar potrafią! Boy-Żeleński stwierdza, że w wodewilu tym: „dowcipu rozrzucili autorowie mnóstwo, słownego, sytuacyjnego, muzycznego, wszelkiego rodzaju“. Przezabawna jest próba w teatrzyku, wyborna również scena, gdy skłopotany premier szuka hasła dla mas, a jego referenci proponują mu szereg haseł do wybory, jak „od martyrologji do motoryzacji“, „za twoim samochodem złączym się z narodem“ itp.

Przedstawienie jest triumfem Dymszy, ponadto bardzo dobrze grają: Stefcia Górska, Grochwiczówna, Znicz, Rentgen, Minowicz, Olsza, Bystrzyński i oczywiście Jarosy, świetny reżyser całości.

Sztuką polskiego współczesnego autora i aktora Juljana Krzewińskiego rozpoczął pracę **Teatr Nowy w Poznaniu**, przygotowawszy starannie **„Pierwszy występ pani premjerowej“**. Jest to zabawna, niefrasobliwa, gorąco witana przez rozbawioną publiczność, farsa, którą niepotrzebnie nazwano komedją, a z która niezasłużenie surowo obeszli się niektórzy krytycy. Sztuka grana jest dobrze, a krytyka szczególnie podkreśla komizm M. Dowmunta i dobrą grę P. Relewicz-Ziembińskiej, J. Balickiego, S. Smoczyńskiego, pomysłową reżyserję Wronckiego — i dekoracje Grabczyka.

Teatr im. **J. Słowackiego w Krakowie** gra obecnie świetnie reżysersko przez W. Biegańskiego przygotowaną komedję **„Arleta i zielone pudła“**. Wybornie grają w niej: Klońska, Bednarska, Walewska i Szubert, a obiecująco zapowiada się nowy talent, Bielska.

(b).



Wybitna artystka komedjowa Pelagja Relewicz - Ziembińska, gra w Teatrze Nowym w Poznaniu, główną rolę w nowej sztuce Juljana Krzewińskiego pt. „Pierwszy występ pani premjerowej“.

NOWE KSIĄŻKI.

Popularną dawniej gawędę książkową wskrzesza, jak to słusznie już zauważono, powieść **Witolda Bunikiewicza** p. t. **„Życie w kolorach“** (nakł. F. Hoesick, Warszawa). Jest to również, tak modna dzisiaj, powieść autobiograficzna, rozpoczynająca się fragmentami beztroskich lat dziecinnych. Później autor maluje przeżycia na froncie austrjackim w Małopolsce Zachodniej, z lekkością i humorem przedstawiając dole i niedole bohatera oraz losy armji austrjackiej. Powieść czyta się lekko, bo jest żywa i pełna kolorów.

Książka, którą naprawdę powinien przeczytać każdy (także i młodzież), jest powieść **Jana Brzozy „Dzieci“** (nakł. Książnica-Atlas, Lwów—Warszawa). Jest to wstrząsający obraz życia małoletnich dzieci ulicy, które puszczone samopas, radzą sobie z ciężkim losem jak mogą, najczęściej marnieją, giną, lub zapełniają sale sądów dla nieletnich, domy poprawy. A przecież te dzieci, rosnące w środowisku nędzy, zła i zbrodni, są często zgruntu dobre, mają swój własny honor, własne prawa, które każą im otoczyć opieką słabszych i biedniejszych. Serca dzieci ulicy — to bezcenne skarby, które marnieją i giną w brudzie i w błocie ulicy.

Powieść Brzozy, proletarjusza-samouka, jest napisana prosto, szczerze i uczciwie. Autor zna niziny życia proletarjatu wielkomiejskiego doskonale, zna również świetnie psychologję dziecka. Powieść pisana jest naiwnym stylem dziecięcym, gdyż oczyma dziecka patrzy autor na małych bohaterów swej powieści, bohaterów z lwowskiej ulicy.

(b).

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, dn. 20. IX.

10.00: Nabożeństwo z Chyrowa z okazji 50-lecia Zakładu im. św. Józefa.
12.03: „Co kto lubi“ — koncert Małej Orkiestry Polskiego Radja.
14.30: Audycja dla wsi.
15.30: „Swojskie melodje“ — wykona Polska Kapela Ludowa.
17.00: Kongres muzyki kościelnej z udziałem najlepszych chórów Diecezji Gnieźnieńsko-Poznańskiej.
18.00: Teatr Wyobraźni — premjera słuchowiska p. t. „Wielka wygrana“.
18.30: „1000 taktów muzyki“ — odegra zespół Stefana Rachonia.
20.20: „Co czytać“ — omówi Tadeusz Makowiecki.
21.00: Pierwszy koncert transkontynentalny — transmisja z Nowego Yorku.
21.30: „Na wesołej lwowskiej fali“.
23.00: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dn. 21. IX.

11.30: Audycja dla szkół.
12.23: Muzyka (płyty).
15.45: „Nie rób tego“ — opowiadanie dla dzieci.
16.00: Koncert z Ciechocinka.
16.45: „Dlaczego warto popierać opieki szkolne“ — pogadanka.
17.00: Koncert solistów.
17.50: Odczyt o Macierzy Szkolnej w Gdańsku.
19.00: „Z różnych stron“ — koncert w wykonaniu Małej Orkiestry Polskiego Radja pod dyr. Z. Górzyńskiego.
20.00: Audycja żołnierska.
20.30: „Katorga aleksandrowska“, feljeton.
21.00: Gustaw Mahler: IV Symfonja G-dur.
22.15: „Gre-gre, gregoły, poszły żaki do szkoły“ — audycja muz.
23.00: Muzyka taneczna.

Wtorek, dn. 22. IX.

12.23: Koncert Sekstetu Niny Mańskiej.
16.00: Muzyka kameralna (płyty H. M. V.).
16.45: „Szarża pod Samo-Sierrą“, odczyt.
17.00: Muzyka taneczna.
18.00: „List z Huculszczyzny“ — feljeton.
18.10: „Pan od przyrody był zagranicą“ — pogadanka dla dzieci.
19.30: Koncert w wyk. Orkiestry Symfonicznej P. R. pod dyr. Mieczysława Mierzejewskiego.
20.00: Muzyka dwufortepianowa.
20.30: „Marysieńka“ — szkic literacki — Tadeusz Boy-Żeleński.
21.00: „O piętro wyżej“ — operetka.
22.25: Utwory skrzypcowe odegra Maurycy Neumiller.
23.00: Muzyka taneczna.

Środa, dn. 23. IX.

11.30: Audycja dla szkół.
12.23: Muzyka operowa.
15.45: „Niezwykłe przygody Jędrka i Felka“ — słuchowisko.
16.15: Koncert w wykonaniu Orkiestry Wojskowej.
16.45: Chór robotniczy „Zjednoczenie“.
17.00: Koncert w wykonaniu Kwartetu salonowego.
17.30: Pieśni szkockie odśpiewa Olga Łada.
19.00: Koncert Małej Orkiestry P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego.
20.00: Oktet Squire'a (płyty).
21.00: Koncert Chopinowski w wykonaniu Stanisława Szpinalskiego.
21.30: Koncert w wykonaniu członków kameralnego zespołu instrumentalnego Krakowskiego Towarzystwa Muzycznego.
22.15: Koncert Łódzkiej Orkiestry pod dyr. Teodora Rydera.
23.00: Muzyka taneczna.

Czwartek, dn. 24. IX.

11.30: Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych.
12.23: Koncert w wykonaniu zespołu Józefa Stena.
15.45: „O tem jak polowałem na zdechłego krokodyla“ — opowiadanie dla dzieci.
16.00: Koncert.
16.45: „W dwudziestolecie dymisji Józefa Piłsudskiego z dowództwa Pierwszej Brygady Legjonów“ — odczyt.
17.00: Koncert w wykonaniu zespołu Pawła Rynasa.
18.00: „Dlaczego wysiłek społeczny często się marnuje“ — feljeton.
19.10: Powszechny Teatr Wyobraźni nadaje „Seans z ekierką“.
19.40: „Mało znane balety“ — koncert.
21.00: „Missa pro pace“ — Feliksa Nowowiejskiego w wykonaniu chóru i organów pod dyr. kompozytora.
22.15: Muzyka taneczna.

Piątek, dn. 25. IX.

11.30: „Wśród łoskotu maszyn“ — transmisja z drukarni Zakł. Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.
12.03: „Listowne nauczanie rolnictwa“ — pogadanka.
12.23: Muzyka.
16.00: Utwory Franciszka Liszta wykona na fortepianie Nadzieja Padlewska.
16.45: „Za Mikaszewiczami kończy się Polska“ — reportaż z Polesia.
17.00: Koncert Wileńskiej Orkiestry Kameralnej.
19.00: Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.
20.00: Arje i pieśni odśpiewa Zofja Leszczyńska.
20.30: „Lekcja geografji“ — Bolesława Prusa.
21.00: Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry Symfonicznej pod dyr. Grzegorza Fitelberga.
22.15: Muzyka operetkowa (płyty).
23.00: Muzyka taneczna.

Sobota, dn. 26. IX.

11.30: Śpiewajmy piosenki.
12.23: Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
14.30: Koncert rozrywkowy Orkiestry Marka Webera i solistów.
15.45: Audycja dla dzieci z okazji 15-lecia Kół Młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża.
16.15: Koncert w wyk. Orkiestry Tramwajów i Autobusów Miejskich.
16.45: „W Tallinie“ — pogadanka“.
17.00: Melodje filmowe.
18.00: „Pustelnia w krainie legend, cudów i czarów“.
19.10: „Doboszowe gody“ — rapsod Huculszczyzny.
20.15: Audycja dla Polaków z zagranicy.
21.00: Pieśni polskie odśpiewa Stanisław Drabik.
21.30: Humor: „Czepiec, gęśla i podwika“.
23.00: Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.